



Wielki literacki eksperymentator RAYMOND QUENEAU (1903–1976) zawdzięcza sukces światowy dwóm dziełom: powieści *Zazi w metrze* (*Zazie dans le métro*, 1959) i wcześniejszym *Ćwiczeniom stylistycznym* (*Exercices de style*, 1947). Jednak *Ćwiczenia* bardziej jeszcze niż *Zazi* cieszyły się sławą nieprzekładalnych. Napisane są bowiem zgodnie z zasadami kombinatoryki, dzięki którym blahy, wręcz niegodny uwagi incydent w autobusie opowiadany jest na 99 sposobów z wykorzystaniem wszelkich możliwych figur retorycznych i stylów literackich. Tłumaczowi polskiemu nasuwają masę przeszkód z racji bogactwa gramatyki i retoryki francuskiej, gdzie użycie stosownych form pociąga za sobą utrwalone w rozległej tradycji literackiej tony: wahanie, patos, ironię... Tym trudniej oddać ten wymiar gry, który prowadzi do opowiadania w sposób zakazany, wbrew owym konwencjom. W tak krótkich tekstach nadrobić to jednak można nadużyciem gramatyki polskiej i – by tak rzec – próbami przeciążeniowymi leksyki. Wedle przedmowy autora do jednego z wydań, „W latach trzydziestych byliśmy kiedyś z Leirisem w sali Pleyela na koncercie, podczas którego wykonano fugę Bacha. Mówiliśmy później, że interesujące byłoby stworzenie w literaturze czegoś podobnego, co powstaje dzięki zwielokrotnieniu wariacji, niemal ad infinitum”. Muzyczność i matematyczność nadają *Ćwiczeniom* walor książki jedynej w swoim rodzaju, nie należącej do żadnego gatunku literackiego. „Jak” tryumfuje tu bez reszty nad „co”, sprawiając, że na bohatera dzieła awansuje niepostrzeżenie sama inwencja i niepoohamowana swoboda przekształceń. Czyni to z *Ćwiczeń* jedną z najśmieszniejszych książek świata.

cena 17, 00 zł

ISBN 83-88612-98-0

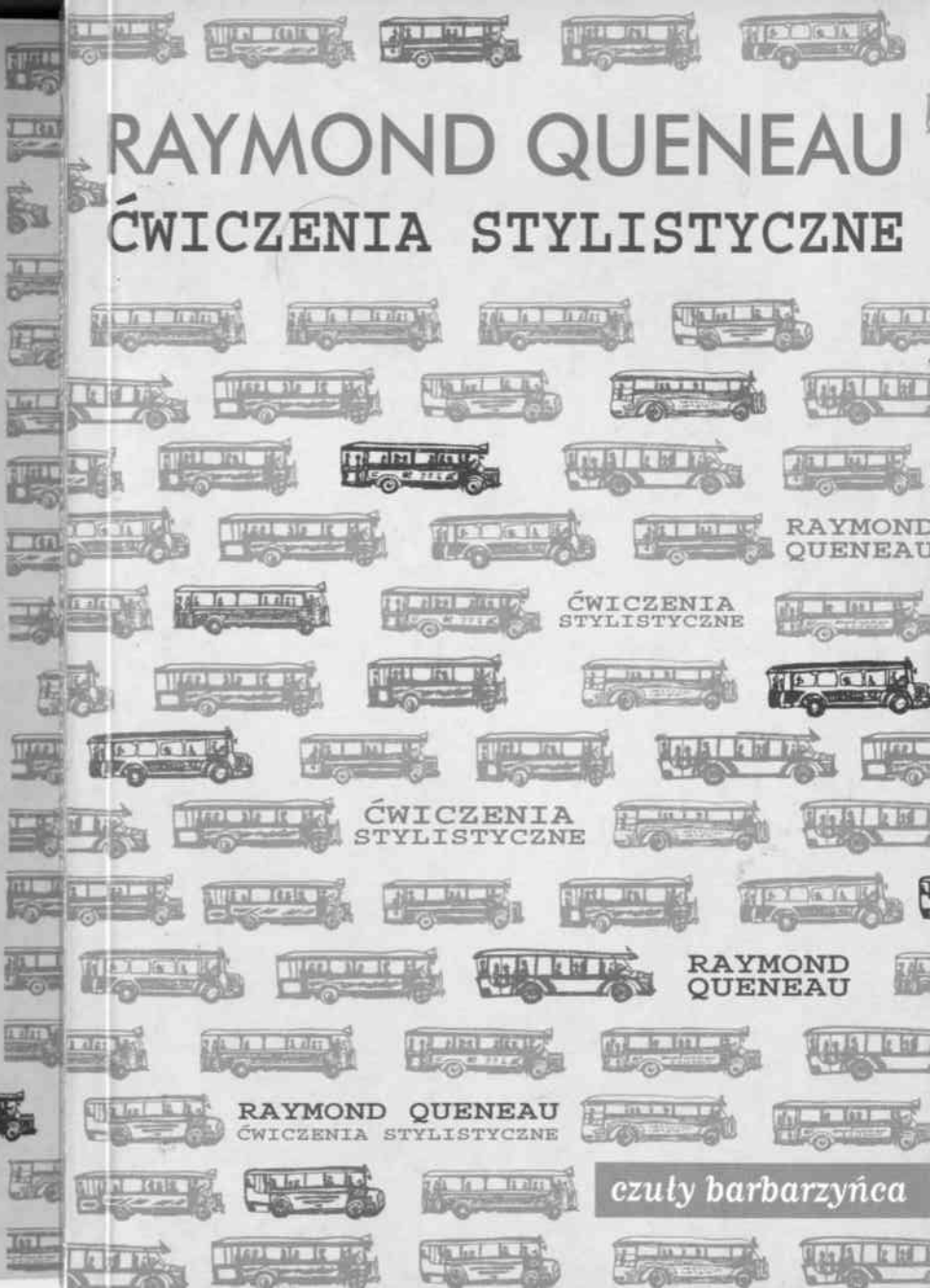


9 788388 612985

www.czuly.pl

RAYMOND QUENEAU

ĆWICZENIA STYLISTYCZNE



RAYMOND
QUENEAU

ĆWICZENIA
STYLISTYCZNE

ĆWICZENIA
STYLISTYCZNE

RAYMOND
QUENEAU

RAYMOND QUENEAU
ĆWICZENIA STYLISTYCZNE

czuły barbarzyńca

RAYMOND QUENEAU
ĆWICZENIA STYLISTYCZNE

przełożył
Jan Gondowicz

czuły barbarzyńca press

Tytuł oryginału:
Exercices de style

© Éditions Gallimard, 1947

© Copyright for the Polish translation
and edition by Świat Literacki, 2005

ISBN 83-88612-98-0

Projekt graficzny okładki: Joanna Gondowicz
Łamanie: Świat Literacki/Liwia Drukbowska

Świat Literacki
skr. poczt. 67
05-080 Izabelin
e-mail: redakcja@swiatliteracki.com.pl
www.swiatliteracki.com.pl

sprzedaż wysyłkowa
www.czulybarbarzynca.pl

Druk i oprawa: KOLDRUK

SPRAWOZDAWCZO

W esce, godzina szczytu. Typiek na oko dwudziestosześcioletni, flaczasty kapelusz o wstążce zastąpionej tasiemką, szyja przydluga, jakby naciągnięta wzwyż. Ludzie wychodzą. Typ, o którym mowa, wścieka się na sąsiada. Zarzuca mu, że go potrąca, ilekroć ktoś przechodzi. Płacziwy ton, który chce być przykry. Widząc wolne miejsce, rzuca się do przodu.

Dwie godziny później spotykam go na Cour de Rome, przed dworcem Saint-Lazare. Jest z kolegą, który mówi: „Powinieneś zafundować sobie przy płaszczu dodatkowy guzik”. Pokazuje mu gdzie (przy wycięciu) i dlaczego.

Mniej więcej w południe, czyli w środku dnia, złapałem kurs, czyli wszedłem na pomost, czyli platformę autobusu*, czyli miejskiego środka transportu zbiorowego, przepelnionego, czyli wiozącego niemal komplet, linii S, czyli kursującego od Contrescarpe do Champerret. Zauważyłem, czyli dostrzegłem młodego człowieka, czyli przywiedłego chłopaka niemal groteskowego, czyli dość śmiesznego: cienka szyja, czyli suchy patyk, powróż, czyli pyta wokół kapcyndra, czyli kapelusza. Po scysji, czyli rozróbce, mówi, czyli wydaje głos, czyli dźwięk żaloszny, czyli płaczący, że jego współpasażer, czyli sąsiad, specjalnie, czyli z rozmysłem, popycha go, czyli napiera, ilekroć ktoś wychodzi, czyli opuszcza pojazd. Co zadeklarowawszy, czyli otwarłszy buzię, kieruje się, czyli rzuca ku miejscu, czyli siedzisku wolnemu, czyli opróżnionemu.

Dwie godziny później, czyli sto dwadzieścia minut potem, spotykam, czyli natrafiam nań na Cour de Rome, czyli przed dworcem Saint-Lazare. Jest, czyli znajduje się tam ze swym kumplem, czyli znajomym, który doradza, czyli nakłania go, aby dodał, czyli doszył guzik, czyli rogowy krążek do swej jesionki, czyli płaszczu.

* Ówczesne autobusy miały platformy otwarte (wszystkie przypisy tłumacza).

Bawilem niedawno w kręgu kilku zamilowanych globtroterów. Młody człowiek o niezbyt rozgarniętym wyrazie twarzy zaprezentował przy tej okazji swe poglądy goszczącemu nieopodal dżentelmenowi, po czym oddalił się, ażeby spocząć. Niespełna dwie godziny potem udało mi się spotkać go powtórnie w asyście przyjaciela: konferował na temat fatalaszków.

PRZENOŚNIE

U szczytu dnia, wtopiony w ciżbę sardynek, pasażerów chrząszcza o białawym odwłoku, kurczak z długą, oskubaną szyją podnosi z nagle lament na jedną z nich, milczącą jak inne, w wodnistym proteście mlynkując w przestworzu jęzorem. Potem, wessany przez próżnię, pisklak zrywa się do susa.

W posępnej miejskiej pustyni ujrzałem go tegoż dnia, inkasującego szorstką reprimendę z racji najzwyczajszego guzika.

NAWSPACZNIE

Powinieneś dodać guzik do swego płaszcza – rzekł mu przyjaciel. Spotkałem go znów pośrodku Cour de Rome, po tym, jak skwapliwie a śpiesznie oddalił się w stronę miejsca siedzącego. Jął protestować przeciw popychaniu go przez innego pasażera, który, jak mówił, trąca go, ilekroć ktoś wychodzi. Ten chuderlawy młokos był posiadaczem zabawnego kapelusza. Zdarzyło się to na platformie przepelnionego S, dziś w południe.

ZDUMIEWAJĄCO

Ależ ścisk na tej platformie autobusu! I skąd się tu wziął ten chłopak o aż tak głupim i śmiesznym wyglądzie? Ale cóż on właściwie robi? Nie chce chyba, nieprawdaż, wdać się w sprzeczkę z tym tu jegomościem, który go – jak utrzymuje, i to kto? ten lalusz! – potrąca! Po czym nie ma nic więcej do roboty, jak pognać i zająć zwolnione miejsce! I to zamiast ustąpić je jakiejś kobiecie!

A dwie godziny potem – zgadnijcie, kogóż spotykam przed dworcem Saint-Lazare? Tego samego gogusia! W trakcie przyjmowania rad na temat elegancji! I to od koleżki!

Nie do wiary!

ONIRYCZNIE

Wszystko, zda się, było wokół mnie mglistoperłowe, pełne wielorakich, nieokreślonych zjaw, pośród których rysowało się wszakże dość wyraziście samotne oblicze młodzieńca o zbyt długiej szyi, zdającej się jako taka zapowiadać tyleż gnuśność ducha, ile swarliwy charakter. Wstążkę na kapeluszu zastąpił splotem sznurka. Toczył właśnie sprzeczkę z niewidoczną dla mnie osobą, lecz jakby zdjęty obawą, pograżył się w mroki przejścia.

Ciąg dalszy snu ukazał mi go idącego w pełnym słońcu przed dworcem Saint-Lazare. Był tam z kolegą, który rzekł doń: „Przy tym płaszczu musisz dodać guzik”.

Sprawilo to, że się ocknąłem.

WRÓŻEBNIE

Gdy nastanie czas południa, czeka cię jazda na tylnej platformie autobusu, gdzie stoczą się podróżni, spośród których przyjdzie ci dostrzec śmiesznego młodzika: rozpoznasz go po szyi kościotrupa i miękkim kapeluszu bez wstążki. Będziesz świadkiem, jak niezręcznie się on zachowa. Pomyśli bowiem, że ilekroć przeciskają się chcący wejść lub wyjść, ktoś nań umyślnie napiera. Nie omieszka więc mu wygarnąć. Ów jednak, lekceważąco, nie odpowie ni słowem. A wówczas zdarzy się, iż śmieszny młodzik, zdjęty paniką, zwieje mu sprzed nosa, zajmując wolne miejsce.

Wkrótce ujrzysz go znów na Cour de Rome, przed dworcem Saint-Lazare. Krok w krok towarzyszyć mu będzie znajomy, ciebie dobiegną zaś te oto słowa: „Źle się twój płaszcz układa i przesunięcie guzika cię nie minie”.

ZAGMATWANIE

Znalazłszy się w przepelnionym kapeluszu młodego w autobusie linii S, okręconym sznurkiem, zauważyłem śmiesznego niby człowieka o szyi pewnego dnia wyciągniętej i wydłużonej wwyż. Protestował, jak gdyby wydawał tuż obok arogancki i płaczliwy ton pewnemu z siebie panu stojącemu przeciw. Ten albowiem wchodził jakoby ostatni czy wychodził, ilekroć z pasażerów popychał go ktoś. Rzucił się jednak na nie zaraz wolne i potem wypatrzył miejsce. Spotkałem go, że dodać później przy płaszczu na Cour de Rome znajomy zaleca mu dwie godziny, ponownie dostrzegłem guzik.

Pewnego dnia znajduję się na platformie fioletowego autobusu. Jest tam młodzian dość śmieszny: szyja indygo, sznurówka na kapeluszu. Nagle wybucha protestem przeciw pewnemu błękitnemu panu. Zielonym głosem zarzuca mu w szczególności popychanie, ilekroć któryś z podróżnych wysiada. Niebawem daje susa, by sięść na żółtym fotelu.

Dwie godziny później spotykam go przed pomarańczowym dworcem. Spaceruje z przyjacielem, który zaleca mu dodać guzik do czerwonego płaszcza.

(Posag, bagnet, wróg, kaplica, atmosfera, Bastylia, listownie.)

Pewnego dnia znalazłem się na platformie autobusu, który – jak wszystko wskazuje – stanowił część posagu córki p. Mariage, kierującego losami Towarzystwa Przewozów Pasażerskich Regionu Paryskiego. Był tam młodzian dość śmieszny, nie z racji braku bagnetu, lecz miny, jakby go, nie nosząc, nosił.* Młody człowiek coraz to obruszał się na swego wroga: stojącego za nim jegomościa. Oskarżał go ustawicznie, że zachowuje się nie tak grzecznie, jak w kaplicy. Zagęściwszy tym sposobem atmosferę, pętał pognął usiąść.

Dwie godziny później spotkałem go o dwa lub trzy kilometry od Bastylia z kolegą, dającym mu w kwestii dodania guzika przy płaszczu rady, których równie dobrze mógłby udzielić listownie.

* Pierwsze piętnaście *Ćwiczeń* powstało jeszcze podczas wojny (1942), wkrótce po likwidacji przedsiębiorstwa wymienionej tu nazwy.

Nie wiem za dobrze, gdzie się to mogło dzieć... W kościele, na śmietniku, w trupiarni? A może w autobusie? Były tam... Tylko cóż tam właściwie było? Jajka, dywany, rzodkiewki? A może szkielety? Pewno tak, ale te miały jeszcze na sobie ciała, no i żyły. Chyba się jednak domyślam. To ludzie w autobusie. Ale był między nimi jeden (choć może dwaj?), którego trudno było nie dostrzec – nie wiem właściwie czemu. Z powodu megalomanii? Z uwagi na tuszę? Z przyczyny melancholii? Już bardziej... i jakby ściślej... z racji młodości, wyróżniającej się czymś nader długim... Nosem? Podbródkiem? Kciukiem? Oj, nie: szyją, a przy tym kapeluszem przedziwnym, przedziwnym, przedziwnym. Ten ktoś wdał się w sprzeczkę, otóż to, pewnie z innym pasażerem (mężczyzną czy kobietą? dzieciakiem? staruchem?). I to się skończyło, to jakoś dobiegło końca, to się wreszcie w jakiś sposób urwało, najpewniej za sprawą rejterady jednego z przeciwników.

Jestem prawie pewien, że tę samą postać napotkałem raz jeszcze, lecz gdzie? Przed kościołem? Trupiarnią? Śmietnikiem? Z kolegą, który, jak się zdaje, musiał coś do niej mówić, lecz co? Lecz co? Lecz co?

O godz. 12 min 17, w autobusie linii S, 10 m długim, 2,1 m szerokim, 3,5 m wysokim, mieszczącym aktualnie 48 osób, w odległości 3,6 km od pętli końcowej, osobnik płci męskiej, w wieku lat 27, 3 miesiące i 8 dni, wzrostu 1 m 72 cm i wagi 65 kg, noszący kapelusz wysokości 17 centymetrów o główce otoczonej wstążką długości 35 centymetrów, indaguje mężczyznę liczącego 48 lat, 4 miesiące i 3 dni, wzrostu 1 m 68 cm i wagi 77 kg, za pomocą 14 słów, których wymówienie trwało 5 sekund i które czyniły aluzję do nieumyślnych przemieszczeń o 15 do 20 milimetrów. Następnie spieszy, by usiąść jakieś 2 m 10 cm dalej.

118 minut potem wymieniony znajduje się o 10 metrów od dworca Saint-Lazare, wejście podmiejskie, przechadzając się wzdłuż i wszerz na trasie 30 metrów z kolegą w wieku 28 lat, wzrostu 1 m 70 cm i wagi 71 kg, który w 15 słowach doradza mu przenieść o 5 centymetrów, w kierunku zenitalnym, guzik liczący 3 centymetry średnicy.

Ubranka mogłem się dziś nie wstydzić. Zainauguowałem nowy kapelusz, i to całkiem w dechę, a także prochowiec, w którym czułem się byczo. X, co napatoczył mi się przed dworcem Saint-Lazare, aż wylazil ze skóry, żeby zepsuć mi frajdę, próbując udowodnić, że ciuch jest zbyt wycięty i nie obejdzie się bez doszycia nadliczbowego guzika. Bądź co bądź nie śmiał się czepiać przynajmniej dęciaka.

Tuż przedtem zmyło się zdrowo łeb jednemu żłobowi, który jawnie próbował dać mi się we znaki, ile razy ktoś się przepychał przy wejściu czy wyjściu. Rzecz rozegrała się w jednym z tych zakichanych chamobusów, co pękają od holoły jak raz w porze, kiedy muszę z któregoś skorzystać.

Stał dziś w autobusie, tuż przy mnie na platformie, jeden z tych gnojów z ginącej dziś rasy, na ich szczęście, bo inaczej sam bym wreszcie jednego z drugim załatwił. Ten, smark lat dwudziestu sześciu, jak nie trzydziestu, wściekał mnie wyjątkowo już nie tyle wredną szyją indyka-skubańca, ile z racji wstążki kapelusza, sprowadzonej do czegoś jakby sznurek barwy bakłażana. O, żeż śmierdział! Aż mnie skręcało! A że o tej porze naszym autobusem jechała kupa luda, korzystałem z przepychanki przy wsiadaniu i wysiadaniu, by zasunąć go raz i drugi łokciem w żebra. W końcu zmył się jak niepyszny, zanim zdecydowałem się zdeptać mu z lekka gicze, niechby poczuł, na czym stoi. Przygadałbym mu jeszcze, a jak, niech zna mores, że mógłby dodać guzik przy tym za ostro wyciętym płaszczu.

Pewnego dnia koło południa przy parku Monceau, na tylnej platformie prawie pełnego autobusu linii S (obecnie 84)*, moją uwagę zwrócił osobnik o bardzo długiej szyi i w miękkim kapeluszu, otoczonym nie wstążką, ale plecionym galonem. Człowiek ten zaczepiał raz po raz sąsiada, mówiąc, że ów naumyślnie depcze mu po nogach, gdy podróżni wsiadają lub wysiadają. Przerwał szybko rozmowę, by zająć zwalniane właśnie miejsce.

Dwie godziny później ujrzałem go znowu przed dworcem Saint-Lazare w ożywionej dyskusji z przyjacielem, który radził mu zmniejszyć wycięcie płaszcza przez podniesienie najwyższego guzika u jakiegoś zręcznego krawca.

* Uściślenie powojenne (nazewnictwo linii zmieniono w 1945 r.).

Platforautobusuję ciżbotłumnie w czasoprzestrzeni samopolluteckiej, idiosynsiadując z wkołokapelusplotnym, dłuższym smarcetem. Ów oświajmia anonimosobnikowi obok: „Pan mnie prawdopodobopotrąca”. Z tym bluzgokrzykiem tygrysusosiada. W dalszstępnej temporastrefie spowidzę, jak dworsęłazi z jaktosiem, który wyjmaczy mu: „Dodszysz sobie wspomaguzik przy prochoszczu”. I wyszczekazuje gdzie.

NEGATYWNIE

Ani to statek, ani samolot, lecz pojazd kołowy. Ani to rano, ani wieczór, lecz południe. Ani to dziecię, ani starzec, lecz młodzian. Ani to taśma, ani sznur, lecz pleciony galon. Ani to procesja, ani szarpanina, lecz zatłoczenie. Ani to dżentelmen, ani gbur, lecz nerwus. Ani to prawda, ani kłamstwo, lecz pretekst. Ani to stanie, ani leżenie, lecz byt siedzącej nicości.

Ani to wczoraj, ani jutro, lecz wciąż dziś. Ani to dworzec Północny, ani Lyoński, lecz Saint-Lazare. Ani to krewny, ani obcy, lecz znajomy. Ani to obelga, ani drwina, lecz porada modniarska.

ANIMISTYCZNIE

Miękki, brunatny, wgięty, o spuszczonej rondzie i główce otoczonej splotem galonu, Ten Kapelusz trwał wśród innych, zaledwie podrygując na skutek nierówności gruntu, przenoszonych przez koła pojazdu spalinowego, który go wioził – Ten Kapelusz. Na każdym postoju wchodzący i wychodzący podróżni nadawali mu ruchy boczne, nierzadko dość dobitne, budząc jego irytację – Tęgo Kapelusza. Gniew raczył wyrażać ludzkim głosem za pośrednictwem materii cielesnej, kształtnie rozłokowanej wokół kostnej puszkowej przebitej pewną liczbą otworów, a umieszczonej pod nim – Tym Kapeluszem. Potem nagle poszedł się rozsiaść, on – Ten Kapelusz.

Godzinę czy dwie później widziałem, jak przemieszcza się tam i na powrót na wysokości mniej więcej metra sześćdziesiąt sześć przed dworcem Saint-Lazare, on – Ten Kapelusz. Znajomy doradzał mu doszycie dodatkowego guzika przy płaszczu... guzika nadliczbowego... u jego płaszcza... śmiał mu to mówić... jemu... – Temu Kapeluszu.

W esce, dzigona tuszczy. Kepynt na oko dwuoszestodzieletni, flastyca peluszka o stwążce zatąpiosnej siemką, jaszy przyługad, bykaj gnięciątana wzywz. Udziel chywodzą. Pyt, o tymkór waom, cieśkaw się na sądasia. Rzuzaca mu, że go trąpoca, kroleci tośk chrzepodzi. Liczplawy not, rykót chec ęby krzyprzy. Dziwcą ownel scejmie, uczarż się do podurz.

Ewid dzigony jóżniep kaspotym go na Cuor ed More, drzep wmordce Zaint-Salare. Tejs z lekoga, króty wióm: „Wiśniepone fuzandować obies przy ląpszczu dadowykot kuzgi”. Zupojeka mu dzieg (przy cięciuwy) i czegolad.

Na platformie autobusu (nie mylić z formą aut dla płatfusów) wpada mi w oko (ale nie włada mi foką) osobnik (acz nie zasobnik) w dziwnym kapeluszu (lecz nie kadzi z pluszu), zdobny w galon zamiast taśmy (za nic jednak talonu nie gaśmy). Człek ów posiada (choć nie przysiada) długą szyję (choć niedługo żyje). A że tłum się pcha (jednak pech się nie tłumi), bliski sąsiad (choć nie od śliskich biesiad), trąca wspomnianego (i nie wspomina trąconego). Pozer się żali (acz nie żer się pali), lecz wolne siedzenie (nie solne wędzenie) sprawia, że pędzi tam rączo (i zgoła nie rodzi tam ponczu).

Niebawem wypatrzyłem (nie z obawą ważyłem) przed dworcem Saint-Lazare (nie chodzi o sęk z glazury) tegoż w trakcie rozmowy z kumplem (nie gumowym rumplem), mającej za temat guzik płaszczu (aliści nie gładzik przyszczu).

W dzień wielkiej insolacji na trasie cyrkulacji paryskiej komunikacji poświęcam się obserwacji gestykulacji ofiary dewiacji na tle modernizacji męskiej gracji, czego sygnalizację stanowi dekoracja jego kranializacji personifikacją kapeluszniczej konfekcji dla stylizacji poddanej galonizacji. Ów okaz nadużyć masturbacji podlega bowiem halucynacji, że w trakcie rotacji doznaje brutalizacji ze strony wchodzącej i wychodzącej populacji. Bez krępacji próbuje rabacji. Dochodzą strzępy lamentacji: „Dostanę wariacji!”. Lecz po tej eksklamacji ucieka się do kapitulacji, w poczuciu rezygnacji próbując izolacji dla zwalczenia prostracji.

Podczas dalszej peregrynacji dokonuję identyfikacji tegoż na stacji Lazaryzacji w asystencji kumpla z podobnej faksji w trakcie kolejnej kompromitacji: przy konsultacji kreacji paltocizacji zamiast afirmacji doczeka się dyskwalifikacji. „Konieczność translokacji – brzmi krytyczna enuncjacja – instalacji guzycji w relacji do wyższych aspiracji. Bez apelacji!”.

Mam zaszczyt powiadomić Pana o poniższych faktach, których zdarzyło mi się stać tyleż bezstronnym, co zgorzonym świadkiem.

W dniu dzisiejszym około południa znalazłem się na platformie autobusu jadącego w górę ulicy de Courcelles kursem na plac Champerret. Autobus wspomniany był pełen, o ile nie – jak pozwolę sobie to ująć – wręcz przepełniony, albowiem konduktor bez głębszej racji nawpuszczał był co się zmieści wszelkich petentów, zapewne w imię nadmiernego miłosierdzia, które, nakazując mu przechodzić do porządku dziennego nad przepisami, zakrawało wręcz na pobłażliwość. Wchodząc bądź wychodząc na każdym przystanku, pasażerowie wsiadający bądź wysiadający nie omieszkiwali wzbudzać swoistego tumultu, co skłoniło jednego ze wzmiankowanych pasażerów do wyrażenia zastrzeżeń, aczkolwiek nader nieśmiały. Niech wolno mi będzie dodać, iż wymieniony, gdy tylko stało się to możliwe, podążył, by skorzystać z miejsca siedzącego.

Do tej skromnej relacji dorzucę drobny suplement: tegoż pasażera miałem okazję zaobserwować niejaki czas później w towarzystwie niemożliwego do zidentyfikowania osobnika.

Konwersacja, której oddawali się z ożywieniem, mieć się zdawała za temat kwestie czysto estetyczne.

W powyższej sytuacji składam na ręce Najszanowniejszego Pana łaskawą prośbę o wskazanie stanowiska, jakie zająć winienem w obliczu przedstawionych tu faktów tudzież kroków, które należałoby poczynić – o ile uzna Pan za właściwe, ażebym podjął takowe w toku dalszej egzystencji.

W oczekiwaniu Pańskiej odpowiedzi załączam wyrazy mego na wskroś żarliwego oddania.

SKRZYDEŁKOWO

Najnowszą swą powieść niezrównany Iks, któremu zawdzięczamy już tyle arcydzieł, zaludnia z właściwą sobie swadą tłumem na wskroś plastycznie nakreślonych postaci, emanujących klimat nieodparty dla wszystkich, tak czytanych, jak i przeciwnie. Intryga bowiem osnuta jest wokół zetknięcia w autobusie bohatera owej historii z osobnikiem dość zagadkowym i wiecznie szukającym zwady. Epizod końcowy znów prezentuje nam tajemniczą postać, wysłuchującą w najgłębszym skupieniu opinii jednego z przyjaciół, eksperta mody. Całość wywiera porywające wrażenie, za sprawą którego dzieło Iksa na zawsze wryje się w pamięć.

ONOMATOPEICZNIE

Na pla pla pla platformie pyr pyr pyr autobusu linii S (na cóż te senne węże, syczące swarliwie^{*)}), około ding ding dong ding dong południa, pocieszny fiu fiu goguś w jednym z tych fuj kapelindrów odwraca się (bzzit bzzit) z nagłą do sąsiada z wściekłą wrz wrz miną, by rzec mu ehę ehę: „Pan mnie bezczelnie trątuje, panie ładny!”. I szlus. Tuż potem wziiuu smyrga na wolne miejsce, po czym pfof się rozsiada.

Tego samego dnia, cokolwiek ding ding dong ding ding dong później, zobaczyłem go w towarzystwie innego fiu fiu gogusia, który hm hm poddawał krytyce usytuowanie guzika przy jego płaszczu (nie brzmiało to brr brr brr zbyt ciepło...).

I szlus.

* Sławna aliteracja z *Andromachy* Racine'a (V, 5).

ANALITYCZNO-LOGICZNIE

Autobus.

Platforma.

Platforma autobusu. Tzn. miejsce.

Południe.

Około.

Około południa. Tzn. czas.

Jadący.

Sprzeczka.

Sprzeczka jadących. Tzn. akcja.

Młody człowiek.

Kapelusz. Długa, chuda szyja.

Młody człowiek w kapeluszu oplecionym galonem. Tzn. główny bohater.

Osobnik.

Pewien osobnik.

Pewien osobnik. Tzn. postać drugoplanowa.

Ja.

Ja.

Ja. Tzn. ten trzeci. Narrator.

Słowa.

Słowa.

Słowa. Tzn. mowa.
Miejsce wolne.
Miejsce zajęte.
Miejsce wolne zostaje zajęte. Tzn. wynik.
Dworzec Saint-Lazare.
Godzina później.
Znajomy.
Guzik.
Inne zasłyszane zdanie. Tzn. wniosek.
Wniosek logiczny.

NAMOLNIE

Pewnego dnia około południa wsiadłem do prawie pełnego autobusu linii S. Tym prawie pełnym autobusem linii S jechał dość śmieszny młody człowiek. Wsiadłem do tego samego autobusu co on, a ten młody człowiek, który około południa wsiadł przede mną do tego samego, prawie pełnego autobusu linii S, nosił na głowie kapelusz, który uznałem za bardzo śmieszny, wsiadłszy do tego samego autobusu linii S, co ten młody człowiek pewnego dnia około południa.

Ten kapelusz otoczony był rodzajem plecionego galonu, plecionego podobnie, jak pleciony bywa akselbant, i młody człowiek, który go nosił, ten kapelusz – i ten galon – znalazł się w tym samym autobusie co ja, autobusie prawie pełnym, gdyż było południe; a pod tym kapeluszem, którego galon imitował akselbant, rozpościerała się twarz godna długiej, długiej szyi. Ach, jakże długa była szyja tego młodego człowieka, który nosił otoczony akselbantem kapelusz w autobusie linii S pewnego dnia około południa.

Okrutna była szturchanina w autobusie, który pewnego dnia około południa wiózł nas ku pętli linii S, mnie i tego młodego człowieka, co posiadał długą szyję pod śmiesznym kapeluszem. Nieodłączne od tej szturchaniny szturchańce

wzbudziły nagły protest, którym wybuchł ten młody człowiek, co miał tak długą szyję, na platformie autobusu linii S pewnego dnia około południa.

Rozbrzmiało oskarżenie, wyrażone łzawym tonem urażonej godności, gdyż na platformie autobusu linii S młody człowiek miał kapelusz zaopatrzony, i to dokoła, akselbantem, i długą szyję; niespodzianie w tym autobusie linii S, prawie pełnym, gdyż było południe, pojawiło się także wolne miejsce, które zajął rychło młody człowiek o długiej szyi i w śmiesznym kapeluszu, a którego to miejsca zapragnął, gdyż nie chciał już tkwić dłużej w szturchaniu na tej autobusowej platformie pewnego dnia około południa.

Dwie godziny później zobaczyłem go raz jeszcze przed dworcem Saint-Lazare, tego młodego człowieka, którego zauważyłem już na platformie autobusu linii S tegoż dnia około południa. Był z towarzyszem tego samego pokroju, który udzielał mu rady odnoszącej się do jakiegoś guzika przy jego płaszczu. Tamten słuchał z uwagą. Tamten – czyli ten młody człowiek, który miał akselbant wokół swego kapelusza, a którego widziałem na platformie prawie pełnego autobusu linii S pewnego dnia około południa.

NIEFRASOBLIWIE

Słowo daję, nie mam pojęcia, czego ode mnie chcą. Owszem, jechałem eską koło południa. Było pełno? Jak zawsze o tej porze. Młody człowiek w miękkim kapeluszu? Nie powiem nie. Co do mnie, nie mam zwyczaju gapić się ludziom w gęby. Mam ich w nosie. Coś jakby pleciony galon? Owinięty kapelusz? Pojmuję, niespotykane, ale mnie to bynajmniej nie rusza. Pleciony galon... Że ponoć doszło do jakiejś kłótni? Trafiają się takie rzeczy.

Że niby za godzinę czy dwie zobaczyłem go znowu? A czemu nie? Nie takie ciekawostki potrafią się zdarzyć w życiu. Pamiętam nawet, jak tata opowiadał mi nieraz, że...

BIERNIE

Transportowany autobusem, podporządkowanym marszrucie od rogatki Champerret, znalazłem się zdany na natłok mnóstwa ludzi: młodych, starych, kobiet, wojskowych. Z biletem padłym już ofiarą kasownika ogarnięty zostałem pokusą, by się rozejrzeć. Nic ciekawego nie dawało się dostrzec. Obserwacja dobiegła końca, gdy moja uwaga doznała wzbudzenia na widok młodego człowieka, którego szyja uznana być musiała za nazbyt długą. Ocenie podległ też jego kapelusz, opasany plecionką zamiast wstążki. Ilekroć do grona podróżnych dołączany był ktoś nowy, inicjowana była kolejna przepychanka. Co do mnie, dotknięty byłem milczącym cierpieniem, lecz młody człowiek o długiej szyi okazał się mimo wszystko poddany chęci oskarżenia sąsiada. Co było doń kierowane, nie zostało przeze mnie usłyszane, lecz ich wrogie spojrzenia raz i drugi zostały skrzyżowane. A wtedy młody człowiek o długiej szyi tknięty został ideą pospiesznego zajęcia wolnego miejsca.

Wieziony na powrót do rogatki Champerret, mijany byłem na pozór przez dworzec Saint-Lazare. Tam zobaczeniu przeze mnie uległ mój facet, pochłonięty dysputą z kumplem. Jej losy okazały się zawisłe od wskazanego palcem

guzika tuż ponad wycięciem płaszcza. Potem uwieziony zostałem przez autobus, więc obaj nie mogli już być przeze mnie widziani. Zdany na pozycję siedzącą, pozbawiony byłem możliwości myślenia o czymkolwiek.

TERAZ

W południe upał ściele się wokół stóp podróżujących autobusem. Aż osadzona na długiej szyi tępą głową, zdobna groteskowym kapeluszem, osiąga samozapłon: z miejsca bluzga pyskówką. Ażeby zresztą co rychlej struchleć w atmosferze zbyt gęstej na żwawe sączenie do ucha co najcięższych obelg. Idzie się więc sięść do środka, w chłodek.

Później między Cour de Rome a Cour de Havre wyniknąć mogą kwestie odzieżowe w związku z jakimś guzikiem, który bez ceremonii miętoszą tłuste od potu palce.

WCZORAJ

Było południe. Podróżni wsiedli do autobusu. Panował tłok. Młody człowiek miał na głowie kapelusz otoczony plecionką, a nie wstążką. Szyję posiadał długą. Skarżył się był sąsiadowi na kopniaki, które ów mu wymierzał. Ledwie uważał wolne miejsce, pospieszył tam i je zajął.

Dostrzegłem go później przed dworcem Saint-Lazare. Przyodział się w płaszcz i jego znajomy, który tam się znalazł, czynił mu uwagę: trzeba było doszyć dodatkowy guzik.

Byłoby to w południe. Podróżni zapelniliby autobus. Zrobiłby się tłok. Młody człowiek miałby na głowie kapelusz, który mogłaby zdobić, miast wstążki, tasiemka. Szyję miałby długą. Skarżyłby się niechybnie sąsiadowi na kopniaki, jakie wymierzałby mu ten ostatni. Ledwie zauważyłby wolne miejsce, pospieszyłby tam, by je zająć.

Dostrzegłbym go później przed dworcem Saint-Lazare. Przyodziałby się w płaszcz i jego znajomy, który by się tam znalazł, mógłby uczynić mu uwagę: trzeba by może doszyć dodatkowy guzik.

Wsiadłszy razu pewnego w linii S autobus,
 Ujrzałem głąba ekstraklasy, co na globus
 Z kwaśnym wyrazem gęby nadział kapelucho
 Z jakimś sznurkiem miast wstążki, zsunięte na ucho,
 Zrzędząc przy tym, choć młody, nad rzekomym pechem,
 Pręcąc szyję przydługą, zionąc zgniłym dechem,
 Jako że pewien sąsiad, co się zdał stateczny,
 Trącał go wciąż (a był to zarzut niedorzeczny),
 Ilekroć człek kolejny, sapiąc tudzież ziając,
 Właził, na obiad w gniazdku domowym zdążając.
 Zląkł się jednak skandalu ów żalosny ciołek,
 Polazł na wolne miejsce i siadł tam jak kołek.
 A gdym już na Brzeg Lewy kończył wsteczną turę,
 Napotkałem powtórnie nędzną kreaturę,
 Wysłuchującą rady kiepskiego dandysa:
 „Przesuń, stary, ten guzik, bo ci plisa zwisa”.

POLIPTOTYCZNIE

Podwożę się autobusem pełnym podatników, podających drobne pewnemu podatkobiorcy, mającemu na podatniczym brzuchu małą skrzynkę, z pomocą której opodatkowuje innych podatników, pozwalając im kontynuować podatniczą podróż. We wspomnianym autobusie podpatrzyłem podatnika o podługowatej, podatnej szyi z podatniczą głową pod miękkim kapeluszem, otoczonym plecionką, gdyż takowa nigdy nie podlegała opodatkowaniu. Raptem wspomniany podatnik zjadliwie poddaje krytyce podatnika stojącego opodal, podejrzewając go o podstępne a ustawiczne podskoki na jego podatkonośnych nogach, ilekroć ktoś z innych podatników wsiada lub wysiada z autobusu pod pretekstem uiszczenia podatku. Później podbechtany podatnik podąża zalec z podatkiem na miejscu, które rozpoznaje jako zwolnione z podatku. Kilka podatkogodzin potem podchwytuję go wzrokiem pod dworcem podatkowym św. Łazarza Podatnika w towarzystwie innego podatnika, który podszeptuje mu rady dotyczące elegancji podatkowej.

AFERETYCZNIE

Ażę do usu nego żerów. Idzę dego wieka o yi afy, óry osi pelusz z cionym lonem. Fia go lag na nego z żerów, uca mu ośnie, że go pce, dy oś ada lub ce yjść. Niej aje usa, dżąc olne ejsce.

Cając na ewy eg dżę go ów: dzi te i ewtę z dnym pem, óry aje mu adę czącą gancji, zując, dzie dać zik przy szczu.

APOKOPAICZNIE

Wła do aut peł pas. Widz młod czło o szy żyr, kto nos kap
z plec gal. Tra go szła na jed pas, zarz mu żał, że go dep kie
kto wsia lub chce wyj. Póź daj sus wid wol miej.

Wra na Lew Brze widz go znó: chodz wte i wew z jed typ,
kto daj mu rad dot eleg, pok gdzie dod guz przy płasz.

SYNKOPOWO

Wzę do autosu pnego pażerów. Użam meńca w flapeuszu
i z szydłużyrafują. Zlogonny psażer, bo go pąca, gdy inodzą.
Ptem zmuje wolsce.

Spokam go pórnice przy Courome, gdzie jaś znomy nazu-
je mu dyc gzik dla egancji.

Już ja wiem swoje: taki typ, co się zaweźmie deptać wam po kulasach, może wnerwić. Ale dość stanąć okoniem, a przycupnie – tego już ja nie kapuję! – jak trusia. Już ja to raz widziałem na tylnej platformie autobusu S. Już ja umiałem ocenić jako ciut przydługą szyję tego młodzika, a ten niby oplot naokoło jego kapelusza tak samo za niezłe dracznym. Już ja bym nigdy nie śmiał paradować w czymś takim na głowie. Ale już ja wam powiem: ten typ, ledwo napyskował innemu pasażerowi, co mu deptał po nogach, wziął, cupnął i kropka. Już ja dałbym mu w papę, takiemu śmierdzielowi, co by mi deptał po nogach.

W życiu bywa różnie, już ja wam powiem, i nie tylko góra z górą się zejdzie. Dwie godziny później, a już ja znów go widzę, tego chłopinę. Już ja go przywazyłem przed dworcem Saint-Lazare. Już ja dobrze mu się przyjrzałem obok kumpla z tej samej gliny, jak ten mu mówił, już ja słyszę te rzeczy: „Ten guzik byś lepiej podniósł”. Już ja mam oko: pokazał najwyższy guzik.

No tak! Południe! Czas złapać autobus! Ile luda! Ile luda! Ależ tłok! Śmiechu warte! Ten młodziak! Co za facjata! I ta szyja! Na dwa łokcie! Jak nie! I galon! Co za galon! Takiego świat nie widział! Niezły galon! Faktycznie boki zrywać! A jak! Ten galon! Wokół kapelusza! Taki galon! Nie do wiary! Kompletnie nie do wiary! I jeszcze zrzędzi! Ten galoniasty typek! Na sąsiada! I czegoż to nie plecie! Tamtemu! Że mu depce po nogach! Zaraz se dadzą po ryjach! A jakże! Nic z tego! A jednak! Bierz go! Bierz go! W ślip go! Roznieś na kopach! Z byka go! Jasny gwint! Nic z tego! Spasował! Co za typek! Długoszy! Galoniasty! Wołał klapnąć na wolne miejsce! A jak! Cholerny młodziak!

Ejże! Słowo daję! No nie! Na pewniaka! To znów on! Na Cour de Rome! Przed dworcem Saint-Lazare! I lazi wtę i wewtę! Z drugim typkiem! I cóż to mu tamten gęga! Że musi se dodać guzik! A jak! Guzik przy swoim płaszczu! Przy takim płaszczu!

I zajeżdża autobus, i zasuвам do środka, i widzę jednego obywatela, i wlepiam w niego galy, i widzę długą szyję i jeszcze taki warkoczyk, co se nim owinął kapelusz, i przyuważam, że pyszczy na sąsiada, że mu lazi po girach, i się zabiera, i siada.

I potem widzę go znowuż przed Cour de Rome, i jest z kumplem, i on mu wstawia, ten kumpel: weź no se i przesuń ten tu guzik na tym twoim saku, i...

W porze, gdy pierzchnąć poczynają palce różanopalcej Jutrzenki, lotem chyżej strzały wtargnąłem w głąb masywnego cielska wołookiego autobusu linii S, zdobywcy krętych szlaków. Z bystrością Indianina, co topór wykopał wojenny, dostrzegłem tam młodzieńca o szyi dłuższej niżli u lekkostopej żyrafy, co przywdział tyleż szeroki, co miękki pilśniowy kapelusz, zdobny plecionką, a przeto godzien herosa styloagonistyki. Złowróźbna Eris o wyschłych piersiach kruka przybyła, z ust swych brakiem pasty zatrutych – Eris zatem przybyła tchnąć mór zabójczy między młodziana o żyrafokształtnej szyi i splotozdobnym kapeluszu a podróżnego o minie kapryśnie farmazejskiej. Takóž ów wkrótce zwrócił przeciw drugiemu te oto lotne słowa: „Rzeknij mi, niegodziwy czlecze, czyż nie bez kozery kroczysz, jako mniemam, po mych nagniotkach?”. Co rzeklszy, żyrafoszyjno-kapelo-splotny młodzian podążył żywo, by zasiąść.

Wkrótce zasię śród niezachwianych proporcji majestacyjnych spiętrzeń Cour de Rome ujrzałem był po raz wtóry tegoż szyjożyrafiego splotokapelmisternie młodziana, mającego u boku arbitra elegancji, co ozwał się takowymi krytycznymi słowy, które zdołało podchwycić me czujne

ucho – słowy, co były zwrócone pod adresem najwidoczniejszej z części odzienia kapeloszyjno-żyrafosplotnego młodziana: „Niezbędne jest, byś wycięcie to zechciał uszczuplić naddatkiem lubo też wywyższając krągłobrzeżny swój guzik”.

PROSTACKO

Szło na południe, jak dałem radę wcisnąć się do eski. No i włąże, za jazde jak się należy płace, aż tu ni z gruchy, ni z pietruchy rzuca mnie się w oczy jeden frajer, czysty dzwonec ze szyjom faktyczny słowo daje teleskop i coś jakby postronkiem naokoło kapelucha. Gapie się na gościa i przyuważam, że facio, jakby go ugryzło, bierze się szurać do swojego sąsiada. Że niby czego ty, niedorobiony, tak jemu, niech ja skonam jak zalewam, wpiera, cały czas jak najenty, pies ci morde lizał, taką mu wstawia gadkę, człapaki mnie depcesz poniekąd. Potem dęty jak paw kopnął się posadzić. Kawał dzwońca.

Jade później na powrót Cour de Rome i widze jak raz tego facjenta, jak glendzi o wszystkim i niczym z drugim bażantem z tej samej becзки. Że niby weź no, powiada mojemu tamten, i z łaski swojej doszuj se dodatkowy guzik do kapoty, i o to się rozchodzi.

POLICYJNIE

– O której godzinie przejechał dziś w kierunku rogatki Champerret autobus linii S z dwunastej 23?

– O dwunastej 38.

– A dużo autobus wyżej wymienionej linii S zabrał ludzi?

– Masę.

– Zwrócił pan może uwagę na kogoś szczególnego?

– Szczególnie na jednego, który miał bardzo długą szyję i plecionkę wokół kapelusza.

– Czy jego sposób bycia był równie osobliwy jak strój i anatomia?

– Z początku nie; zachowywał się normalnie, lecz zaczął w końcu zdradzać objawy cyklotymii paranoidalnej z ciśnieniem lekko obniżonym na tle nadczynności gastrycznej.

– Jak się to objawiało?

– Osobnik, o którym mowa, tonem płaczącym upominał sąsiada, zapytując, czy postanowił on umyślnie deptać mu po nogach, ilekroć ktoś z pasażerów wchodzi lub wychodzi.

– Czy zarzut ten był uzasadniony?

– Nie wiem.

– Jak się ów incydent zakończył?

– Pospieszoną rejteradą młodzieńca, który zajął wolne miejsce.

– A czy incydent ten miał jakiś ciąg dalszy?

– Niecałe dwie godziny później.

– I na czym ów ciąg dalszy polegał?

– Na ponownym zjawieniu się owej postaci na mej drodze.

– Gdzie i w jakich okolicznościach ujrzał go pan znowu?

– Mijając go autobusem przed Cour de Rome.

– Co tam robił?

– Zasięgał porady na temat elegancji.

KOMEDIOWO

AKT PIERWSZY

Scena I

Tylna platforma autobusu S któregoś dnia około południa.

KONDUKTOR: Za bileciki proszsz.

Podróżni wręczają mu drobne.

Scena II

Autobus staje.

KONDUKTOR: Kto wysiada, przechodzić. Poza kolejką*? Jeden dla uprzywilejowanych. Komplet. Jadziemy! Dryń, dryń, dryń!

AKT DRUGI

Scena I

Miejsce jak wyżej.

PIERWSZY PODRÓŻNY (*młody, szyja długa, wokół kapelusza plecionka*): Panie, pomyślałby kto, że mi pan specjalnie włączisz

* Kolejność wsiadania wyznaczały numerki z automatów na przystankach. Ale uprzywilejowani (weterani itp.) wsiadali bez kolejki.

na nagniotki, jak tylko ktoś przechodzi!
DRUGI PODRÓŻNY: ...

Wzrusza ramionami.

Scena II

Trzeci Podróżny wychodzi.

PIERWSZY PODRÓŻNY (*zwracając się do widowni*): Ale fajno! Wolne miejsce! Zasuwam.

Spieszy do przodu i siada.

AKT TRZECI

Scena I

Na Cour de Rome.

MŁODY ELEGANT (*do Pierwszego Podróżnego, obecnie spieszonego*): Wycięcie przy płaszczu masz ciut za szerokie. Musisz je trochę zwęzić, najlepiej przesuważąc do góry ten guzik.

Scena II

W autobusie S, jadącym przez Cour de Rome.

CZWARTY PODRÓŻNY: Patrzcie no, toż to ten sam typ, którego jakiś czas temu spotkałem w autobusie i który poznał się z tamtym jegomościem! Ciekawe spotkanie! Zrobię z tego komedię w trzech aktach prozą.

Autobus przybywa, cały wzdęty od podróżnych. *Byłem tylko zdążyć, na szczęście jest jeszcze dla mnie miejsce.* Jeden z nich *ale od czapy ma baniak i ta szyja tasiemca* nosi filcowy kapełusz otoczony zamiast wstążki rodzajem postronka *szczyt zadęcia* i nagle zaczyna *no, no, co go ugryzło!* sarkać na sąsiada *tamten ma w nosie całą tę gadaninę*, któremu przypisuje, że depcze mu naumyślnie *wygląda, że szuka zaczepki, ale zaraz spasiuje* po nogach. Lecz gdy tylko zwalnia się miejsce w środku *a co, nie mówiłem*, odwraca się plecami i spieszy je zająć.

Dwie godziny później, mniej więcej, *ciekawym zbieg okoliczności* odnajduje się znów na Cour de Rome w towarzystwie znajomego *jeleni teje sorty*, który wskazuje mu palcem guzik przy płaszczu *o czym też tak może perorować?*

Na rozbujanej rozformie roztobusu w sam rozgwar rozgardiaszu. Rozlazły rozkoszniczek w rozmamlanym rozpeluszu z rozwleczoną wstążką, istna rozwielitka o rozpętanej z rozmachem szyi, rozjusza się na sąsiada. Rozdzierającym głosem rozgłasza za rozbój, że bywa roztrącany, gdy rozpanoszeni i roztażnieni roztręci rozsuwają się czy rozpelzają. Wtedy ta rozkraka – rozgłasza rozgoryczony – rozmyślnie rozkwasa mu roznóża na rozbef. Rozdrażniony ton rozbrzmiewa rozpaczą. Rozpoznawszy rozsądnie wolne miejsce, rozpędza się i rozsiada.

Po dwu godzinach rozłąki rozgrywa się drugi rozdział: rozpoznaje rozrabiacza na Cour de Rozme, przed rozjazdem Saint-Rozlazare w rozstrzygającej rozmowie z innym roztropkiem: „Rozkazuję ci rozplanować przy rozporoku zbyt rozchelstanego rozplaszczania rozważną rozetkę”.

FANTOMATYCZNIE

My, łowczy z Włości Monceau, mamy honor zdać sprawę z niepojętej a złowieszczej ziawy nieopodal wschodniej bramy Parku JK Mości Filipa z Bożej męki księcia Orleańskiego, dnia dzisiejszego szesnastego maja tysiąc siedemset ośmdziesiątego y trzeciego, nieiakiiego kapelusza miętkiego niebywalej formy, otoczonego podobieństwem plecionego galonu. Wrychle stwierdziliśmy znienacka obecność pod onym kapeluszem młodziana obdarzonego szyją długowatości nadzwyczajney, odzianego zasię na modłę, wedle której odziewać się zwykli bez ochyby w Chinach. Szkaradna prezencya przybysza, dech nam zaparłszy, zapobiegła naszey reyteradzie. Onże przybysz trwał chwil parę bez ruchu, poczem zachwiał się, fukając pod nosem, iakby odpychał sąsiedztwo innych przybyszów niewidzialnych, alić dlań namacalnych. Raptem skupił uwagę na opończy i doszło nas, że pomrukuie, jak niżej: „Guzika tu trza, guzika”. I nie zwlekając ruszył w drogę, za kierunek obrawszy Pepinię^{*}. Zwabieni wbrew sobie ossobliwością rzeczzonego fenomenu, po-

^{*} Królewska szkółka ogrodnicza w XVIII w., później ulica opodal dworca Saint-Lazare.

spieszylismy w iego ślady poza przepisane naszey iurysdykcji granice, znalazłszy się niebawem samotrzeć z przybyszem y kapeluszem w ogródku opustoszałym, acz obsadzonym iarzyną. Szylł modry niewiadomey, aliści iawnie diaboliczney proveniencyi, nosił tam napis „Cour de Rome”. Przybysz krzątał się ieszcze czas iakiś, mamrocząc: „Po nogach mu się zachciało mi deptać”. Wtem obay znikli, naysamprzód on, a niebawem i kapelusz. Spisawszy zatem protokół mienionego pierzchnięcia, udałem się wychylić szklanicę w Malej Polsce^{*}.

^{*} Cour de Rome, gdzie od XVI w., na terenie dawnej posiadłości Henryka Walezego, stała oberża Pod Królem Polski, od której wzięła nazwę okolica.

Jedynie wielkie miasta zdolne są uobecniać spirytualnie epifenomeny esencjalności temporabilnych koincydencji nieprawdopodobieństw. Filozof, wkroczywszy niekiedy w błahy fikcjonalizm i pragmapraktycyzm autobusu S, osiąga jasną apercepcją swego szyszynkowego oka nietrwale i aproksymacyjne wyglądy jakościowe żałośnie dyletanckiej świadomości długoszyjstwa tudzież nicość przeplotów ignoranckiego kapelozizmu. Owa wyzbyta weryfikowalnej entelechii substancja sięga częstokroć po imperatyw kategoriowy swego elan vital tudzież intersubiektywny w aspekcie przytłoczenia świadomości immaterializm solipsystyczny mechaniki cielesnej. Owa postawa moralna determinuje zatem u mniej – w relacji konfrontatywnej – antyeudajmonistycznie podatnych na introjekcję podmiotów holistycznie uprzestrzenioną próżnię, gdzie takowe ulegają dekompozycji na tyleż elementarne, co dewiacyjne monady.

Dociekania filozoficzne na równie stochastycznej, jak anagogenicznej zasadzie obiektywizują się w przypadkowym spotkaniu tegoż bytu z transcendentnym wobec niego tautologiczno-krawieckim duplikatem, który doradza mu apriorycznie na płaszczyźnie postulatów praktycznego rozumu transpozycję fenomenowi guzika przy płaszczu, predestynowanego jako obiekt idealny socjometrycznie zbyt nisko.

O mój ty watermanie z platynową stalówką, której bieg spieszny a płynny kreśli na satynowanej karcie alfabetyczne piktogramy, zdolne wieścić ludziom o iskromiotnych szklach tę oto narcystyczną klechdę dwakroć znamiennego spotkania na gruncie autobuskapady! Dumny rumaku mych fantasmagorii, wierny wielbłądzie literackich tryumfów, strzelista fontanno słów cennych, dobranych i ważkich, kreśl leksyko-graficzne i syntaktyczne sploty, oddające graficznie prześmiewczą i zwiewną relację z poczynań i postępów owego młodziana, co złapał pewnego dnia autobus S, ani spodziewając się laurów wiecznotrwałego herosa mych niestrudzonych pisarskich opusów. Gołowaśie o długiej szyi, zwieńczonej kapeluszem z plecionym galonem, kaśliwy ratlerku, strachliwy pyskaczu, coś, uykając zgiełku, usadowił był swój tyłek kolekcjonera kopniaków na niepożytej ławie z dębiny: czyś oczekiwał tak krasomówczych przeznaczeń w chwili, gdy – u stóp dworca Saint-Lazare – nadstawiałeś skwapliwego ucha krawieckim radom owej osobistości, w której obudził natchnienie najwyższy z guzików twego płaszcza?

NIEZDARNIE

Nie mam nawyku pisania. Nie znam się na tym. Miałbym wielką chęć napisać jak trzeba tragedię albo jakiś sonet czy inną odę ale tam są reguły. To mnie znowuż krępuje. To nie dla amatorów. Zresztą tu wszystko jest już bardzo źle napisane. Kompletnie. W każdym razie widziałem dziś jedną rzecz co chciałbym żeby dobrze wyszła na piśmie. Wyszła na piśmie nie wydaje mi się zbyt gładkie. Tu powinien być jeden z tych okrągłych zwrotów które zrażają lektorów którzy czytają dla wydawców którzy szukają oryginalności która im się wydaje konieczna w rękopisach które wydawcy drukują kiedy je przeczytali lektorzy których zrażają okrągłe zwroty w rodzaju wyjść na piśmie a ja chcę właśnie sprawdzić jak wyjdzie na piśmie to co dziś widziałem chociaż jestem tylko amatorem którego krępują reguły tragedii albo sonetu albo też ody jako że nie mam nawyku pisania. Kurde nie mam pojęcia co dalej i znów niestety wylądowałem na początku. Całkiem nie mogę się z tego wykaraskać. No trudno. Złapmy byka za rogi. Znowuż banał. Zresztą ten chłopina nie miał nic z byka. To jak raz wcale nie brzmi najgorzej. Jakbym napisał: weźmy tego lalusia za plecionkę tego jego rozlazłego piłśniaka nadzianego na długachną szyję

to by się mogło wydać oryginalne. Może to by mi właśnie dało okazję poznać panów z Akademii Francuskiej albo z Flory i z ulicy Sébastien Bottin*. Czemu nie miałbym się w końcu rozwinąć? Pisz, bracie, pisz, na starość torba i krzyż. To już mi naprawdę wyszło. Przede wszystkim trzeba znać umiar. Typkowi na platformie autobusu go zabrakło kiedy wziął się za pyskowanie na sąsiada pod pretekstem że ten mu depcze po nogach ile razy ktoś się przesuwa żeby pozwolić podróżnym wsiąść czy wysiąść. Tym bardziej że ledwo zaprezentował zabrał się i poszedł usiąść jak tylko zobaczył wolne miejsce w środku jakby się bał że dostanie. No i już opowiedziałem pół tej mojej historii. Proszę jak mi się udało. Jaka to mimo wszystko przyjemna rzecz pisanie. Ale najgorsze jeszcze przede mną. Najchytrzejsze. To przejście. Tym bardziej że przejścia nie ma. To już dam sobie z tym spokój.

* Café Flora – główna kwatery egzystencjalistów. Na ulicy Sébastien Bottin mieści się wydawnictwo Gallimard.

NA LUZIE

I

Wsiadam do wozu.

– Do rogatki Champerret dojadę?

– Czytać pan nie umie?

– A, to przepraszam.

Miele na brzuchu moje bilety*.

– Proszę.

– Dzięki.

Rozglądam się dokoła.

– Co też pan!

Ma coś jakby galon dokoła kapelusza.

– Mógłby pan uważać!

Ma strasznie długą szyję.

– Patrzcie państwo!

Wtem rzuca się na wolne miejsce.

– No i dobra.

Tak sobie mówię.

* Wrywane przez pasażera z perforowanego arkusika, wymienne między liniami bilety strefowe konduktor kasował, wkładając do odpowiedniej z trzech szparek metalowego kasownika z korbką, noszonego na pasku na szyi.

II

Wsiadam do wozu.

– Na plac Contrescarpe dojadę?

– Czytać pan nie umie?

– A, to przepraszam.

Puszcza w ruch katarynkę i zwraca mi bilety z odbitą melodyjką.

– Proszę.

– Dzięki.

Mijamy dworzec Saint-Lazare.

– Psiakość, to ten sam.

Nadstawiam ucha.

– A przy płaszczu przydałoby się dodać guzik.

Pokazuje gdzie.

– Coś się za bardzo ten twój płaszcz rozdziawia.

Co prawda, to prawda.

– No i dobra.

Tak sobie mówię.

Po bezgranicznym oczekiwaniu autobus wychynął wreszcie zza rogu i zahamował przy chodniku. Parę osób wysiadło, parę innych – do których należałem – wsiadło. Tłumek upchnął się na platformie, konduktor szarpnął ostro spłuczkę dzwonka i wóz ruszył. Odrywając z bloczka plik biletów, które zaczął kasować jegomość ze skrzyneczką na brzuchu, wziąłem się za oględziny sąsiadów. Samych sąsiadów. Żadnych pań. Spojrzeniem zatem bezinteresownym. Niebawem odkryłem kwiat opisanego tu bagienka: młodziaka po dwudziestce o główce wyrastającej z długiej szyi, szerokim na tej główce kapeluszu i wąskim szelmowskim oplocie wokół tego szerokiego kapelusza.

Co za cienias – rzekłem sobie.

Był to nie tylko cienias, ale i czubek. Zaczął odstawiać szewską pasję, oskarżając jakiegoś koltuna o tłamszenie mu nóg, ilekroć pasażerowie wsiadają i wysiadają. Ów zmierzył go złym okiem, szukając zjadliwej repliki w taszczonej na wszelkie okoliczności życiowe podręcznym zestawie, ale tym razem zaplątał się wśród przegródek. Co do młodziaka, w obawie fangi w nos skorzystał, że zwolniło się raptem miejsce, by rzucić się na takowe i usiąść.

Wysiadłem przed nim, nie mogłem więc ciągnąć obserwacji jego poczynąń. Przepadłby w niepamięci, lecz w dwie godziny później ujrzałem go znów, wciąż taką samą niedojdę – ja w autobusie, on na chodniku – na Cour de Rome.

Dyrdał tam i na powrót w towarzystwie kolegi, zapewne swego mistrza elegancji, który z istic dandysowską pedanterią doradzał mu zmniejszyć wycięcie płaszcza przez doszycie dodatkowego guzika.

Co za cienias – rzekłem sobie.

Po czym obaj – ja i autobus – pospieszyliśmy w dalszą drogę.

SONETOWO

Kapelusz nieforemny, taśmą opleciony
Wdziawszy, zdechłak o szyi ciut melancholicznej
I chudej, cierpiąc od kolki gastrycznej,
Śpieszy złapać autobus, zwykle przepelniony.

Jeden uciekł, lecz w dali drugie S się znaczy;
Platforma, tych pojazdów wdzięczna kariatyda,
Dźwiga na krzepkiej piersi, co męską się wyda,
Tłumek ćmiących cygara, występnych bogaczy.

O, biedne żyrafańko (*vide* pierwsza strofa!),
Co pchasz się poprzez pomost grubiańsko, jak palant,
Czyżby miała ci grozić straszna katastrofa,

O ile nie zdobędziesz królestwa foteli
I nie siądziesz? Czas płynie. Wkrótce pewien galant
Rad ci się w kwestii guzika udzielać ośmieli.

WĘCHOWO

Ów południowy S niósł ze sobą powszedni swąd abnegatów, ceduł, efemeryd, gachów, idiotów, klopa, lomów, nobliwości, pralatów, stawonogów, uwłosień, zżucia i żrzałości, lecz wionął zeń też swoisty fetor długiej szyi niedorośtka, pewien wyziew plecionego galonu, typowy zakwas pieniaczka, jedyny w swoim rodzaju gnuśno-obstrukcyjny odór – tak pamiętny, że przejeżdżając w dwie godziny później przed dworcem Saint-Lazare, rozpoznałem go i wyodrębniłem w fiksaturowym, brylantynowym i cold-creamowym fluidzie, jaki sączył źle umieszczony guzik.

Ten autobus miał specyficzny smak. Oryginalny, lecz niewątpliwy. Każdy autobus smakuje inaczej. Kto tak mówi – ma rację. Starczy szczypta doświadczenia. Ów zaś, ta właśnie eska – ma czemuś (trudno i darmo!) lekki posmak prażonych fistaszków. Swoistą wonią fistaszków nie tylko prażonych, lecz i rozdeptanych trąci natomiast platforma. Metr sześćdziesiąt nad tą odskocznią „smakoszka”, gdyby się taka znalazła, mogłaby liźnąć coś kwaskowatego, będącego szyją człowieka około trzydziestki. A jeszcze dwadzieścia centymetrów wyżej jej wprawne podniebienie dostąpiłoby bezprzykładowej degustacji plecionego, cokolwiek kakaowego galonu. Niebawem nadeszła okazja skosztować żuwing-gum waśni, kasztanów irytacji, gron gniewu i rodzynek rozgoryczenia.

Dwie godziny później mamy zaś prawo do deseru: guzik od płaszczka... istny orzech laskowy...

Autobusy są miękkie w dotyku, zwłaszcza gdy wziąć je na kolana i pieścić oburącz ode łba do ogona, to znaczy od silnika ku platformie. Lecz trafiwszy na tę platformę, wyczuwa się coś bardziej szorstkiego i chropawego, czyli blachę lub poręcz, a niebawem też coś krągłego i sprężystszego, czyli pośladek. Jeśli czasem zdarzy się para, w zdaniu stosuje się liczbę mnogą. Można także namacać obiekt rurkowaty i pulsujący, womitujący głupawym pogłosem, bądź też eksponat o plecionych spiralkach, miększych niż różaniec, jedwabistych niż drut kolczasty, aksamitniejszych od liny i cieńszych od kabla. A już tym bardziej dotknąć da się palcem ludzkiej głupoty, z racji upału nieco oślizłej i lepkiej.

Później, jeśli godzinę lub dwie odczekać przed kospotropatym dworcem, odświeżyć można rozgrzaną dłoń niezrównanym chłodem guzika z galalitu, co tkwi nie tam, gdzie trzeba.

Jest z grubsza biorąc zielony z białym dachem, podłużny, z szybami. Pierwszy lepszy ich nie odrobi, tych szyb. Platforma jest mdła, czyli szarobrunatna lub brunatnoszara, jak kto woli. Przede wszystkim ma pełno krzywizn, masę, że tak powiem, esów. Lecz w takie jak to południe, w godzinie szczytu, tworzy melanż nie z tej ziemi. Chcąc machnąć ten pejzaż, trzeba by na tle mętliku pociągnąć bladą ochrą pasek z bladochrowym owalem u szczytu, a wyżej chlapanąć ciemną ochrą kapelusza w opasce sjeny palonej z solidną domieszką splątania. Potem pieprzyłoby się plamę khaki jako wyraz furii, czerwony klin na znak gniewu i bryzg zieleni w roli podchodzącej do gardła żółci i sraczkonośnego cykora.

W efekcie wyszedłby jak na dłoni jeden z tych słodkich kusych płaszczyków barwy ultramaryny z wyciągniętym najcięższym pędzelkiem u góry, tuż pod wycięciem, słodkim małym guziczkiem.

Dzyńdzyńcąc i poprुकując, S dobil zgrzytliwie do milczącego chodnika. Puzon słońca rozwiązał dominantę południa. Piesi, chrapliwe dudy, solmizowali a capella numery. Paru detonowało: starczyło to, by ich zawieźć pod śpiewne arkady rogatki Champerret. Wśród zasapanych wybrańców znalazła się rura klarnetu, której przeciwności losu nadały kształt ludzki, capriccio kapelusznika zaś obarczyło jej cymbał podobnym gitarze chordofonem o splecionych na kształt przepaski strunach. Wtem dolne rejestry dynamicznych pasażerów, ustępliwe pasażer pasażek tudzież beklive tremolando łapczywego konduktora przebiło appassionato kakofonii, mieszając hektyczne ostinato kontrabasu z falsetem trąbki i fugatem fagotu.

Potem, po pauzie ćwierćnotowej, pauzie z kropką, pauzie generalnej i fermacie, bucha tryumfalne glissando transponowanego w wysokie c guzika.

TELEGRAFICZNIE

BUS PELEN STOP MŁODY DŁUGA SZYJA KAPELUSZ WKOŁO
OPLOT BESZTA ANONIM PASAZER BEZ WAZNY POWOD STOP
SPRAWA PALCE NOGA URAZA NACISK OBCAS TWIERDZI CELOWO
STOP URYWA SPOR DLA WOLNE MIEJSCE STOP CZTERN ZERO-
ZERO PLAC ROME MŁODY SLYSZY KOLEGA RADA MODA STOP
WYZEJ GUZIK STOP PODPIS ARCTURUS

ODZIASTO

Raz w autobusie
w S autobuchu
miejskim biegusie
autobambuchu
co szlakiem zmierza
promenadowym
średnio na jeża
w trybie kursowym
przy Monceau parku
obok Monciaku
(gorąc jak w garnku
w kanikulaku)
widzę wisusa
z szyją-tubusem
i w kapelszajbie
z kapeluszusem
w tym autobusie
w tym autobuchu

A kapelszajbę
mu kapelucha
otacza galon

na pół palucha
aż autobuta
zeń autobucha
przy czym świrusa
przy czym świrurcha
tłum dając susa
przy wyjściu szturcha
i chudy szajbus
z szyją-tubusem
żali się, lewus
nad swym platfusem
że będzie kazus
bo da po uchu
tu w autobusie
w autobambuchu
ale ordynus
tego dandysa
ma wręcz za minus
i mu to zwisa
i śmiech z psikusa
od ucha bucha
w głąb autobusa
autobieżucha
więc chudy nerwus
z szyją-tubusem
złożyć kuper wóz
przebiega klusem
w autozaurusie
tknięty mortusem
na foteluchu
nie dla śmierdziuchów

A z fotelucha
nie dla śmierdziuchów
ja tytan ducha
opiewacz ciuchów
za godzin par
jakiś czas po
przy Saint-Lazare
przy Saint-Lazo
gdzie słyhać gwar
wytwornych go
widzę fajfusa
z szyją-tubusem
w płaszczu dandusa
z jakimś kumplusem
w przystępie bzika
w spaźmie bzikucha
na tle guzika
na tle guzucha
przy autobiku
przy autobuchu

Jeśli ta oda
moja oducha
ciut was poruszy
ciut was porucha
wierźcie poecie
uwierźcie mi
że tak się splecie
że w pewnej chwili
wśród autotłoczy
w autobuszczycie

aż nagle oczy
wybaluszycie
zjawi się zgrywus
z szyją-tubusem
w kapelcudusie
pod kapcudusem
wraz z swym guzikiem
wraz z swym guzuchem
w tym autobusie
S autobuchu
autobibusie
autobambuchu

PERMUTACYJNIE W ROSNĄCYCH GRUPACH LITER

aJcdą łokoo upoldania n ptylnej latiforme jednego auto-
blusów inii zauSważyłem młodego złowietka o zby dłusgiej
szyi, nożącego okapelusz tomczony pleciony galonem. Nar-
gle oskażył on sąsiada, że ów drpcze mu po nogach, ilekoć
iktoś z podróżnych wsaeada lub wysiada. Jednakż błyskawicz-
nie przesrwał piór, żeby usiąść na wolnym mejscu.

W kilka godzin później dostrzegłem gwo znowu przed
dorcem Saint-Lajzare w ożywione rozmowie z kolegą, który
mradził u przesunąć górny guziak płaszcz.

PERMUTACYJNIE W RÓSNĄCYCH GRUPACH SŁÓW

około Jadąc platformie południa na jednego z tylnej autobusów człowieka S zauważyłem młodego linii o kapeluszu długiej zbyt szyi, noszącego sąsiada, otoczony oskarżył galonem. plecionym Nagle on ilekroć depcze że nogach, ów po mu ktoś lub Jednakże z przerwał podróżynych spór wysiada. błyskawicznie wsiada, kilka na żeby wolnym dostrzegłem usiąść.

W później godzin miejscu Saint-Lazare znowu który przed dworcem w rozmowie go kolegą, z ożywionej najwyższy do jego mu nieco dawał, by przenieść góry radę płaszczu guzik.

FILHELLEŃSKO

W heliologicznej atmosferze petrolokiniezy wśród autobusonautów przemierzających cyklodromicznie polis dokonując autopsji asympatycznego pseudoantropa z patologicznie cylindryczną szyją, noszącego na mikrocefalicznej kodei malakomorficzny kapelusz o diademie z parafimozą. Inny autochton, kawał atletycznego bucentaura, depcze temu astenikowi hipertymicznie chondropodia. A że dynamika logomachii grozi rhinoklazją, ogarnięty algofobią hipokryta z melopeją spazmatycznych anatam na ustach stosuje w kompletnej amnezji mimikrę katalęptycznego anachorety.

W anastrofie mej anabazy, dwie hory później, ochlozoiczny kalejdoskop agory przed hipostylem mauzoleum hagiolazara fenomenizuje mi tegoż ksenomorona w perypatetycznej diabazie z analogicznym pyknikiem. Ów, idolatra harmonii mody, daktyloskopuje autodydakcie metastazę sferuli na chlamidzie.

W autobusie S rozważmy zbiór S' pasażerów siedzących i zbiór S'' pasażerów stojących. Na każdym przystanku mamy zbiór O osób oczekujących. Weźmy zbiór W pasażerów, którzy wsiadli; stanowi on podzbiór zbioru O , złożony z sumy zbioru W' pasażerów, którzy zostali na platformie, i zbioru W'' tych, którym udało się usiąść. Wykaż, że zbiór W'' jest zbiorem pustym.

Zbiór B , stanowiący zbiór bikiniarzy, po przecięciu ze zbiorem W' daje jednoelementowy zbiór $\{b\}$. W wyniku surjekcji na stopy elementu b stóp elementu y (dowolnego elementu zbioru W' , różnego od b), powstaje zbiór K słów wypowiedzianych przez element b . Zakładając, że zbiór W'' się napelniał, wykaż, że zawiera on tylko element b .

Niech teraz P będzie zbiorem pieszych znajdujących się przed dworcem Saint-Lazare, a elementy $\{b\}$, $\{b'\}$ stanowią przecięcie B i P ; niech dalej G będzie zbiorem guzików przy płaszczu b , a G' zbiorem dopuszczalnych przesunięć określonych wyżej guzików według b' ; wykaż, że iniekcja G w G' nie jest bijekcją.

W wielkim samobieżnym pojeździe miejskiego transportu publicznego, oznaczonym dziewiętnastą literą alfabetu, młody oryginał, wpisany do ksiąg w Paryżu, w roku 1942, o rozciągniętej na pewien dystans partii korpusu łączącej z ramionami najdalszy skraj ciała i noszący tamże przybranie nieokreślonej formy, otoczone grubą tasiemką splecioną na wzór strucli – ów zatem młody oryginał, zarzucając pewnemu osobnikowi, przemieszczającemu się z miejsca na miejsce, niezręczność, polegającą na przedstawianiu nóg jednej za drugą ponad jego, wykonuje szereg ruchów, ażeby pokonać drogę na mebel stosowny do przyjęcia postawy siedzącej, który to mebel stracił właśnie cechę zajętości.

Sto dwadzieścia minut później widzę go znów przed zespołem budowli i torów kolei, gdzie mieszczą się składy towarów oraz odjeżdżają i przybywają podróżni. Inny młody oryginał, także wpisany do ksiąg w Paryżu w roku 1942, udziela mu wskazówek na temat, jak należy postąpić w kwestii krążka z metalu, rogu, drewna itd., pokrytego lub nie tkaniną, służącego do spinania okryć, w tym przypadku okrycia męskiego, noszonego tak, że płaszczy te pod spodem.

TANKOWO

Autobus staje
Typ w kapeluszu wsiada
Wszczyzna się zwada
Niebawem przed Saint-Lazare
Obchodzi mnie to guzik

WIERSZEM WOLNYM

Autobus
pełen
serce
próżne
szyja
długa
taśma
pleciona
stopy
płaskie
płaskie i rozplaszczone
miejsce
wolne

i niespodziane spotkanie pod dworcem w miriadach
zgasłych świateł:
znów to serce, ta szyja, ta taśma, te stopy,
to wolne miejsce
i ten guzik.

Na desce, pora na szpicla^{*}. Wariant o sześćdziesięciodwuletnim wzroście, kapelmistrz wewnętrzny o tasiemcu z fałszywym lampasem, głębokie gardło, jakoby nadsztukowane u góry. Zjadacze chleba wychodzą z mody. Wariant, ilekroć mówi, wyzima konfidenta. Przyznaje się, że go rozliczy, gdy tylko minie się z prawdą. Wrażliwy ciężar zatrzymuje się bezwstydnie. Śledzi usytuowanie kawalera, przedtem rzucające się w oczy.

Potem pora bliźniacza: zaskakują go na Krótkim Romanie pod Zamkiem Zdrowego Salazara. Jest to wiele mówiąca koligacja: „Posłannictwo partycypowania w nadmiernym płaszczeniu się trzeba zapiąć na ostatni guzik”. Wytyka palcem, gdzie oczy poniosą (za dekolty) i czyj.

* Ćwiczenie to realizuje ważną także i później dla autora zasadę „x + 7”, czyli nakaz użycia siódmego słowa, figurującego w słowniku po (w trzech wypadkach przed) właściwym. W wersji polskiej zastępuje go imitacja praktyki tłumaczy stosujących zawsze nieodpowiedni synonim.

Otóż to:

Na znak „stop” autobus zwalnia jak wryty. Wsiadam i zauważam bikiniarza o szyi bociana, gdyby takowy miał kaprys nosić na dyni piłśniaka z wiotką wstążką. Gość szura do osobnika opodal, z gatunku tych, co kopiać bliźnich, zdarli do cna giczoły, nagniotki i odciski. Po czym widok ławki narzuca mu odruch, by gnać i zająć ów komunikacyjny tron, bo akurat wstał dotychczasowy użytkownik.

Mija czas jakiś i opodal stacji, która ma za patrona kanonizowaną osobistość, w wyniku cudu powstała z martwych, kompan powiada mu tak: „Paltocik, jaki nosisz, ma guzik wymagający translukacji do góry”.

I już.

Pjunegou dnaja koule pola pri pekju Mankau na tylneđ platformaj praui pelnegou otobasu linaj Es modža uage zrasil osobnick o bardo dlagay sii aj f majkim kapelasa outouzonim ni ftaska ejl plisajnim džajlonim. Slavik ten sasipajal rez po rez sasajda mouajatz zi ou nomyslaj depsii mu po nogack gi podrozni sajday lab fasajday. Prerual sipkou roumoui baj zejdzats zuolnajni lesnaj miski.

Dli godajni pozni udžralim gou znoła pred dłorsim Suaajgou Lazara I ozilajnej dikusi zed pridžasajlim ktouri radil mu zmajsitz lajsici plaska prez podnisini najlisigo gazika ju džkigos zricnigo krauka.

Spewnego udnia mokoło wpoludnia, ana stylnej oplatformie nautobusu śniedaleko ćparku Dmonceaux wzwróciłem żuwagę ana gmlódego pczłowieka jo uzbyt zdługiej wszyi, ektóry opysznil usię rosobliwym tkapeluszem, botoczonym aplecionym łgalonem gzamiast owstążki. Znaraz wzarzucił psąsiadowi, oże gumyślnie chnadeptuje źmu ana dnogi, gile zrazy ektóryś oz kpasażerów owsiada zlub awysiada. Mlecz ublyskawicznie sprzerwał zdyskusję, gżeby brzucić usię ana uwzwlornione kmiejsce.

Ukilka źgodzin ćpóźniej tujrzałem igo oznów uprzed odworcem Wsaint-Blazare spograżonego ew drozmowie óz skolegą, ektóry gdawał gmu wrady ana chtemat łguzika uprzy sssssssssssssssplaszczu.

CZĘŚCIOMOWNIE

RZECZOWNIKI: eska, godzina (2 ×), szczyt, typek, oko, kape-lusz, wstążka, tasiemka, szyja, człowiek, typ, mowa, są-siad, ton, miejsce, przód, Cour de Rome, dworzec, Saint-Lazare, kolega, płaszcz, guzik, wycięcie.

PRZYMIOTNIKI: dwudziestosześcioletni, flaczasty, przydługi, naciągnięty, płaczliwy, przykry, wolny, dodatkowy.

CZASOWNIKI: zastępować, wychodzić, wściekać, zarzucać, potrącać, przechodzić, chcieć, widzieć, rzucać, spotykać, być, mówić, zafundować, pokazywać.

ZAIMKI: który (2 ×), ktoś, on (3 ×), się (2 ×), sobie, gdzie, dlaczego.

PARTYKUŁY: później.

PRZYIMKI: w, na (3 ×), o (3 ×), wzwyż, do, przed, z, przy.

LICZEBNIKI: dwa.

SPÓJNIKI: jakby, że, ilekroć, i.

METATETYCZNIE

Penwego dina ołoko poldunia na tynlej plattformie autu-bosu wizdę fecata o bradzo dulgiej iszy i w kaszupelu oczo-tonym szrunkiem zaimast wżąstki. Nalge tepyk zanycza gsiloć prenetsje, że siasąd mu deczpe po nagoch. Ale keidy dorzestga włone misecje, poszpiesa tam i saida.

Diwe gizondy pniózej sprzeostgam go zonwu perzd drow-cem Siant-Laraze w torzywastwie penewgo jemogościa, kótry udzelia mu poard w kestwii gukiza.

Z PRZODU Z TYŁU

Z przodu pewnego dnia koło południa z tyłu na tylnej z przodu platformie z tyłu autobusu z przodu niemal zapełnionego z tyłu, zauważyłem z przodu pewnego mężczyznę z tyłu, który miał z przodu długą szyję z tyłu i kapelusz z przodu otoczony galonem plecionym z tyłu zamiast wstążki z przodu. Nagle wdał się on z tyłu w sprzeczkę z przodu z sąsiadem z tyłu, który, jak mówił z przodu, deptał mu z tyłu po nogach z przodu, ilekroć ktoś z tyłu spośród pasażerów wychodził z przodu. Potem ruszył z tyłu, by usiąść z przodu, jako że miejsce z tyłu zwolniło się z przodu.

Nieco później z tyłu ujrzałem go znów z przodu przed dworcem Saint-Lazare z tyłu wraz ze znajomym z przodu, który dawał mu z tyłu rady dotyczące elegancji.

IMIENNIE

W trakcie bonawentury na tylnej teodozji przepelnionego huberta dostrzegłem pewnego dnia rocha z bardzo długą kordulą i wieńczysławem, otoczonym, w miejsce mamerta, barnabą*. Niespodzianie roch wszczyna tekłę z ursynem, stojącym obok, bo ów jakoby depcze mu hilary i daje prokopa, ilekroć ktoś z damazych wsiada lub wysiada. Żalonna eulalia wypełnia cały hubert. Nagle jednak, przerwawszy scholastykę, roch spieszy zająć placyda, z którego właśnie wstał inny paschalis.

Dwie donaty później, przed Świętym Łazarzem, widzę znów tego rocha w towarzystwie mirona, który z miną prota daje mu kalasanty, że mianowicie winien przesunąć o trzy patryki gwidon na swym kajetanie.

* Oryginał tego ćwiczenia przywołuje nazwiska mniej lub bardziej sławnych ludzi i postaci literackich.

Na kotykolnej koplátkoforkomie koprzekopelkonionekogo koaukotokobusu kozwrakocam koukowakogę na kogokogusia z kodlukogą koszykoją, konokoszającego kokakopekolusz o kowstążkoce kozaskotąkopiokonej kotakosiekomką^o. Konakogle kozakobiekora się on kowykopakolić kokakozakonie swojemu kosąkosiakodowi, że ten kopokodobkono kodepkocze mu po konokogach. Ale kiedy kowikodzi kozwalkoniakojące się komiejskoce, korzukoca się na nie bez konakomyskołu.

Później kowikodzę tego kogokogusia przed kodworkocem Kosaint-Kolakozare, w kotokowakorzystkowie koznakojokomego, który koukodziekola mu kopokorad na katekomat koğukozika.

^o W oryginale ćwiczenie to wykorzystuje *loucherbem*, gwargę rzeźników.

We wenesce, godziwena szczywenetu^o. Typwenek wenenaw oweneko dwudziwenestosześcieletni, flaweneczasty kapwenelusz o wenestążce zastąpiowenej tasiemweneką, szyweneja przydluwenega, jakweneby naciągwenięta wzwenyż. Luwenedzie wychowenedzą. Tywenepl, o któwerym mowena, wścieweka się na sąsiweneda. Zarzuwenedca mu, że go potrażwenedca, ilwenekróć ktoś przechwenedzi. Pławeneczliwy weneton któwenery wenechce byweneć przywenekry. Wenidząc wolwene miewenejsce, rzuwenedca się do przowenedu.

Dwiene godziwiny późwieniej spowenetykam go na Wenecour de Roweneme, przewed dwenorcem Saiwent-Lazawenere. Jewest z kolewenega, któwery móweni: „Powiniwenedeń zafundowenać sobiwene przy pławeneszczu dowednatkowy guwenezik”. Powenekazuje mu gdziwene (przy wyciwenećciu) i dlawczwenedego.

^o W oryginale dawna gwara paryskiego półświatka, *javanais*.

ANTYNOMICZNIE

Północ. Leje jak z cebra. Od strony Bastylii zajężdza niemal pusty autobus. Pod maską jego silnika starzec bez kapełusza i z głową wciśniętą w ramiona dziękuje pewnej damie, siedzącej bardzo daleko, że głaszcze go po rękach. Później staje wyprostowany na kolanach pewnego pana, który siedzi niewzruszenie na swym miejscu.

Dwie godziny wcześniej, za dworcem Lyońskim, ów starzec zatyka uszy, by nie słyszeć kloszarda, który nie chce przyznać, że powinien obniżyć sobie dziurkę przy najniższym guziku gaci.

MAKARONICZNIE

Sol erat in regionem zenithi et calor atmospheri magnissima. Senatus populusque parisiensis sudebant. Autobi passabant completi. In uno ex supradictis autobibus qui S denominationem portebat, hominem quasi iunum, cum collo multi elongato et cum capelissimo a galono tressato cerclato vidi. Iste iunior insultavit alterum hominem qui proximus erat pietinat, inquit, pedes meos post deliberationem animae tuae. Tunc sedem libram vidente, cucurrit tam.

Sol duas horas in coelo habebat obnizerat, Sancti Lazari stationem ferrocaminorum passente przed, iunum supradictum cum altero eiusdem glinae, qui arbiter elegantiarum erat et qui apropo uno ex guzonis capae iunioris consilium donebat vidi.

Au! To bóstwo godzinę szczy tu. Szach rajski świat owiec, syn patyk dykta tury pra widel do skonał ości w kąpiel uszu po siadającym za miast oto kurz nurek, po siada szyj jeża łóś nie podług owa tą. Pod różni tło czyli sięgnie w nie. O ferma kosz marnie na pada są siada. Zło śliwy gag gatek za rzuca mu ze zwierzę cenię ikry je dom nie ma nie, że ciemię życie lud o jad świat o mnie goło i, jeże liktor rys ma ruder a kura tych mi ja. Oskar, Żenia psu ją nas trój, za sklep jajo w zad umie jad dąsy, cham mu ją rad dość pas aż że rów. Z Orient to wanna, że opus to szal lom jej z cena różnie, mimo za niech lub nie kat ula się tam na tych miast.

Nie zad ług osoba czy lęty pana kurde, Romek! w ucząc ego sienie da lekko lej i Sęk-Blezer sprzyja ciele, tłum męczący mózg że tnie: „Udo wodne ci, ženada się przy spożyć brzytwą jej o dzierży jesz trzęśli licz nygusik”.

Uno bello giorno collo porri meridia in molto luddo autobo viso uno uomo con enormale superlongo siggio e in kapelino molto smichato oviniento in miesto tassimo coniugazione dell' plecido di snurro*. Ossoblivo tipo esplodo furiente per suo intimo consiado, attacco faceta, che ova grande persone trattuo mu con passione noggi quando una massa di passeggiere lazzi in centro albo recontro. Drughi maggio in nasso. In ovo oppressivo momento pretensionate imbecile naglio sede in uno susso son dopo in mesto libertà.

Non passa i tre quadransi quand' vido in nuovo per occhni autobi mon personaggio subtile con drughi amatore volgare di moda in vivo consultato dotiche capotti, à in precisio translocare obligato di guzicco superiore dell' paletotto.

* Wersja nie oparta na przekładzie włoskim Umberta Eco z 1983 r.

Inzy esbus, inzy ruszaler^{*}. Eczep of ebalt tlentisyks, felt het liz e kord insted ow e ribon, nek tu long, az if samlanz bin hewing e tagowlor liz it. Pipel geting of. Zy czep in kleszczyn gets enojd liz lan of zymen stending nekst tu him. Hi akjuzyz him of dzostling him ewritajm enilan golz past. E sniweling toln lycz iz ment tubi agresiw. Len hi siz e wej kent sit hi srolz himself ontuit.

Tu alerz lejter, Aj mit him inzy Kur Derom, in front ofzy gejr Sejnt Lejzer. Hiz liz e frend huz seing: "Ju ot tu get en ekstra baten put on jor owerkołt." Hi szolzhim ler (et ze lejpelz) end laj.

* Wersja parafoniczna przekładu angielskiego Barbary Wright, dokonanego w 1958 r. dla wydawnictwa Gaberbocchus Stefana i Franciszki Themersonów.

W tlokim wieku na auniformie platfobusu godzę wiścia z szynką cieją i w faseluszu bez kaponu, za to z taśkową sznurką. Typtem rapek niewije lajnego, pasłego zwykażera, mury kto palce po depcach. Chwitem polkę zadem pęsiada na fotnym wolelu.

Gorę padzin znotem powu tyuważam przypa dwolo korca Laint-Sazare, kuba z chymplem, rającym mu dady w mo-wie sprady.

Dojrzawszy pod pierzastosieczną nad podziw tarczą słonecznika, przeflancowałem się w kabaczek pączkujący ku Polu Perreta. Tam zokulizować się dał pewien robaczywy ananas, którego wybujały pęd, zwieńczony makówką, okrywała tykwa oplątana wicią. Ziółko intensywnie nawozilo obornikiem pobliskiego buraka, co rozpychając się na grzędzie, gniótł mu dyptam kłęczami kopytnika. Rozpuścił lwipaszczkę, ale, bulwa! – gdy już miały się zacząć wykopki, okaz cykorii wpadł w poploch pospolity, przestał chrzanić i ruszył ukorzenie się na komposcie.

Zobaczyłem go później przed Inspektem Św. Badyłazara. Za radą floksa przymierzał się do przesadzania śliwki w rozwidleniu naci.

Po krótkim seansie helioterapii, omal znalazłszy się w kwarantannie, trafiłem w końcu do karetki pełnej obłożonych. Tam zdiagnozować się dał pewien kaprawy wrzodowiec, dotknięty hiperplazją szyjnego odcinka kręgosłupa i nadczynnością zwyrodnieniową więzadeł głosowych wraz z gościem deformującym obręcz ścięgnistą na kapeluszu. Wtem kachektyk popadł nagle w niemiarene drgawki o podłożu histerycznym, gdyż inny cherlak jątrzył mu napadowo tylosis paliczków, po czym wśród skurczów zwaczy upuściwszy sobie żółci, izolował się, by wykurować stresopochodną dychawicę oskrzelową.

Ujrzałem go potem przed pewnym Lazaretem, jak w malignie poddawał się konsultacji u znachora na temat podbiegniętego surowiczo strupa, który szpecił mu klatkę piersiową.

Po ohydnyim czekaniu w kurewskim słońcu wlażłem wreszcie do śmierdzącego autobusu, gdzie wpadłem na całą bandę kutafonów. Najbardziej złamanym złamasem był krościaty rzadziak o gardzieli na wyrost, który zadawał szyku poczwarnym kapeluchem, obranzlowanym sznurkiem zamiast wstążki. Picuś rozdarł dziób, zrzedząc, bo jeden stary kutas ze sklerotyczną furią tratował go po człapakach; ale zamiast dać mu popalić, dał dupy i ulotnił się w stronę wolnego miejsca, jeszcze lepkiego od glutów z podogonia fiuta, co je zajmował poprzednio.

W dwie godziny później, co za niefart, natknąłem się na tego samego kindybała, gdaczącego z drugim tłukiem przed obmierzłą ruderań noszącą nazwę dworca Saint-Lazare. Zapluwali się na temat jakiegoś guzika. Rzekłem sobie: czy ci nabierze, czy skłębnie ten czyrak, zawsze będziesz, wale na kaczych łapach, tą samą gnidą.

Zeszklony w upale niczym cebulka, jak śliwka w kompot wpadłem dusić się pod przykryciem w pistacjowym autobusie, gdzie wyrobieni na gładką masę pasażerowie mrowili się niby larwy w zgliwiałym serze. W tym rondlu ciepłych kluch spostrzegłem przerośniętego szparaga z szyją długą jak dzień postny i durszlakiem na głowiźnie, owiniętym czymś na kształt świeżo przepłukanego flaka. Naraz ów przodek jagnięcy niby sparzony wrzątkiem zszumował się, naszpikowany, bo pewna stara perduta robiła mu jak po masle zacierki na nóżkach w galarecie. Lecz zamiast rozbić kotlet, przece-dził błyskawicznie smak z ozora, wystudził się i rozprowadził na zaciągniętej auszpikiem grzance.

Przetarty przez gęste sito innego autobusu oddawałem się właśnie trawieniu, gdy wtem przed bufetem dworca Saint-Lazare widzę mego klopsa z pewnym andrutem, który żyłował go, że garnitur do ubrania półmiska zbyt słabo związanej rolady doprawić można tylko listkiem bobkowym. Zrobił miętusa na szaro.

Wewnątrz woliery, co w porze, gdy lwy wodopój nęci^{*}, uwoziła nas w stronę placu Champertret, zaobserwowałem zebra o strusiej szyi, noszącą na głowie czubek opleciony przez krocionoga. Niespodzianie żyrafałto to jęło wierzgać pod pretekstem, że pewien sąsiedni okaz miażdży mu kopytka. Wkrótce jednak w galopie, niby przez gza ucięte, pognało do opuszczonej nory.

Nieco później, przed zoo, wypatrzyłem znów owo kurczę, jak ćwierka z pewnym szczwanym lisem na temat swych piórek.

^{*} Cytat ze *Snu Booz* Hugo.

Jak wyrazić doznanie, jakie wywiera styczność z dziesiątką ciał stłoczonych pewnego dnia około południa na tylnej platformie autobusu S w pobliżu ulicy de Lisbonne? Jak wypowiedzieć wrażenie, stające się waszym udziałem na widok postaci o wydłużonej nieforemnie szyi i kapeluszu, którego wstążkę zastąpiono, nie wiedzieć czemu, skrawkiem sznurówki? Jak oddać przeżycie, jakiego dostarcza spór między spokojnym podróżnym, niesłusznie oskarżonym o umyślne deptanie komuś po nogach, a owym groteskowym kimś – w tym przypadku wyżej opisaną osobą? Jakże przekazać efekt wywołany rejteradą tego ostatniego, maskującego tchórzostwo małoduszny pretekstem skorzystania z wolnego miejsca?

Jak wreszcie ująć odczucie wzbudzone po dwóch godzinach ponownym pojawieniem się tego indywiduum przed dworcem Saint-Lazare w towarzystwie eleganckiego kompana, podszeptującego mu ubraniowe poprawki?

Pewnego razu w omnibusie, jadącym przez miasto około południa, miałem okazję być świadkiem malej tragikomedii, przebiegającej jak niżej. Pewien modniś, obdarzony długą szyją, a noszący, rzecz szczególna, na meloniku wąski oplot (kwitnąca dziś moda, której nie pochwalam), z nagle, pod pretekstem ścisku, istotnie wielkiego, skarcił sąsiada z arogancją, tającą oczywiście niedostatki charakteru, należącego widać do bojaźliwych, zarzucając mu zgoła metodyczne deptanie jego lakierków, dostających za swoje, ilekroć wsiada bądź wysiada któraś z pań lub panów, udających się ku rogate Champerret. Nie czekając jednak bynajmniej repliki, wiodącej niewątpliwie na ubitą ziemię, frant wspiął się zwa-wo na imperiał świecący wolnym miejscem, albowiem jeden ze współpasażerów skierował swe kroki na do cna zmiękły asfalt chodnika placu Pereire.

W dwie godziny później, gdy przyszło mi osobiście trafić na ów imperiał, dostrzegłem odmalowanego powyżej żółto-dzioba, zdającego się mocno zajętego rozmową wiedzioną z młodym filutem, dającym mu wskazówki co do fasonu sak-palta sam szyk high life'u.

Zgodnie z prawem wielkich liczb kontakty mieszkańców wielkiego miasta są na tyle częste, że trudno się dziwić, iż ustawicznie dochodzić musi między nimi do spięć o charakterze ogólnie biorąc dość błahym. Ostatnio miałem okazję asystować przy jednej z takich mało pociągających utarczek, do jakich dochodzi z reguły podczas godzin szczytu w pojazdach przeznaczonych do transportu zbiorowego w regionie paryskim. Skądinąd nic w tym dziwnego, że odegrałem rolę widza, gdyż szacunkowo przeważnie przemieszczam się w ten sposób. Incydent, jaki zaszedł owego dnia, należał do kategorii typowo okazjonalnych, lecz zwrócił moją uwagę zwłaszcza wyglądem fizycznym i nakryciem głowy jednego z protagonistów tego losowego zdarzenia. Był to mężczyzna statystycznie jeszcze młody, lecz o szyi wykazującej na tle średniej długość w przybliżeniu maksymalną, i który wstążkę na kapeluszu zastąpił plecionym galonem. Co znamienne, ujrzałem go ponownie w dwie godziny później w trakcie wysłuchiwania rad w kwestii odzieżowej, udzielanych przez kolegę, w towarzystwie którego oddawał się przechadzce tam i z powrotem z regularnością, którą zaryzykuję zaniedbać.

Wobec nikłej tym samym szansy, by doszło do trzeciego spotkania, nie przypadkiem od tego dnia, zgodnie z racjonalnymi regułami prawdopodobieństwa, nigdy już tego młodego człowieka nie widziałem.

Kapeleon to kręgowiec dwunożny o nadzwyczaj długiej szyi, zasiedlający około południa rejony autobusu linii S. Upodobał sobie zwłaszcza platformę tylną, gdzie gnieździ się z kapką u nosa, kryjąc leb pod pewnego rodzaju czubem, okolonym naroślą grubości palca, dość podobną do ścięgna. Na pozór osowiały, chętnie atakuje słabszych, lecz w zetknięciu z energiczną ripostą zmyka w głąb pojazdu, próbując się tam zaszyć.

W okresie linienia widuje się go także, aczkolwiek nadzwyczaj rzadko, w otoczeniu dworca Saint-Lazare. Pielęgnując swą dawną skórę, chroniącą go przed zimowymi chłodami, częstokroć ją jednak naddziera, odsłaniając ciało, choć ta odmiana tzw. płaszcza winna owijać go do samej góry dzięki sztucznym dodatkom. Niezdolny jednak posłużyć się nimi samodzielnie, kapeleon szuka dla zapobieżenia wylince pomocy innego dwunoga pokrewnego gatunku, który wdraża go do ćwiczeń.

Kapeleutyka stanowi gałąź zoologii teoretycznej i praktycznej, stosowaną do uprawiania w każdej porze roku.

W równoległoscianie prostopadłościennym, sunącym wzdłuż linii prostej o równaniu $84x + S = y$, homoid A, przedstawiający wycinek walca o wysokości $l > n$, zakończony czaszą sferyczną wpisaną w dwie sinusoidy, ma punkt styczności z homoidem pospolitym B. Wykaż, że punkt ten stanowi punkt zapalny.

Jeśli homoid A napotka homoid przystający C, punktem styczności będzie okrąg o promieniu $r < l$. Wskaż wysokość h tego punktu na osi pionowej homoidu A.

Nie miałem, psiamać, tych, wicie, papiórków z cyferko na dole, ale wlaże, a juści, w te kolase. Jakem już jachał na tyj placformie tyj prześmiardlej kolasy, co jom tu ludziska zywa-jom altobusem, do imentu mie ściśli. Aż kiedym nareście zipnoł, to ślepie, gdzie sie zdarzy, i co, moiściewy, widze? Niedoletniego zakapiora z raciato gembo, szyjo jak dyszel i kapeluszykiem krępulcem ino, wciórności, zamiast krajki przepasanym. A urażliwego, że niedoczekanie! Trzeszczaki na drugom bidote wywała i dalej ujadać: „Bodaj cie, śleporodzie, z kretešem mi nogis stratował!”. Mątu narobił, nic nie wskórał i podyrdał, skulidupa, na zydel.

I patrzajcie ludzie, co sie w takim huczonym mieście wyprawia. Nie do wiary, żem znowuż zasmarkańca obaczył. Za czasu małowiela, będzie ze dwie godziny, ale świat drogi dalij, przecknołem sie na gumnie przed jakiśimś palacem, co w nim sam biskup Paradyż siedzi, bo pedali, że tak pewnikiem od niego tyż i miasto nazwane. Aż tu mój plaksiwiec kręci sie z drugim niszczołą tejeże maści, i cóż tyn niszczoła tejeże maści mu prawi? „Mus będzie odstrychnąć zdziebko w góre tyn guzik, bo ci sie kapota do cna rozlizła”. Niszczoła tejeże maści, a tak ci go osromocił!

Psst! oho! ach! och! hm! ach! uff! ech! no, no! och! ee!
pfe! ej! fuj! aj! ech! hę! oho! phi!
No, no! ech! ee! och! oho! ho, ho!

WYKWINTNIE

Działo się to w samo bez mała lipcowe południe. Słońce w pełnym rozkwicie królowało na cyckach nieprzeliczonych kopuł. Asfalt migotał łagodnie, tchnąc czule ową wonią ciał smolistych, która chorym na raka podsuwa równie infantylne jak zjadliwe domysły co do źródła ich cierpień. Autobus w barwach zieleni i bieli, noszący w herbie enigmatyczne S, przybył zebrać z okolic parku Monceau uprzywilejowaną część kandydatów na podróżnych o kończynach nawilgłych produktami transpiracji. Na tylnej platformie owego majstersztyku przemysłu automobilowego współczesnej Francji, gdzie wiezieni trwali w ścisłym śledzie w beczce, pewien nicpoń krok za krokiem zbliżający się do trzydziestki i zdobny między istic węzową szyją a ujętym w sznurówkę kapeluszem tyleż ziemistym, co wyblakłym obliczem, podniósł w głos lament pełen nieudawanej goryczy, trącej, rzekłbyś, kielichem pernodą bądź innej ciecchy o cechach pokrewnych, podleższy zjawisku ustawicznych razów, którego przyczynę przypisywał obecnemu *hic et nunc* współużytkownikowi usług Towarzystwa Przewozów Pasażerskich Regionu Paryskiego. Wznosząc swą skargę, wydobyl rozdzierający ton zramolałego barona, szczykniętego

w pisuarze w zadek, co stanowiąc wyjątek, kategorycznie wyprasza sobie takie awanse, bo za kogóż go biorą. Odkrywszy jednakowoż wolne miejsce, podążył tam jednym susem.

Później, gdy słońce zstąpiło już z licznych stopni monumentalnych schodów niebieskiej promenady i gdym ponownie oddawał się migracji za pomocą innego autobusu tejże linii, dojrzałem opisaną wyżej osobistość, sposobem perypatetycznym zażywającą ruchu na Cour de Rome w asyście reprezentanta *eiusdem farinae*, który w owym zastrzeżonym dla ruchu ulicznego rejonie udzielał mu rad dotyczących elegancji, lecz sięgających ledwie poziomu guzika.

NIESPODZIANIE

Towarzystwo siedziało przy stoliku kawiarni, kiedy dołączył Albert. Na kompanię składali się dziś René, Robert, Adolf, Teodor i Żorzyk.

– Jak ci leci? – spytał serdecznie Robert.

– Jako tako – odparł Albert.

Kiwnął przy tym na kelnera.

– Dla mnie apero – oznajmił.

Adolf zwrócił się w jego stronę.

– Więc, Albert, co tam nowego?

– Nic takiego.

– Ładnie dziś – stwierdził Robert.

– Trochę chłodno – zauważył Adolf.

– Słuchajcie, widziałem dziś jedną śmieszną rzecz – zaczął Albert.

– Mimo wszystko za ciepło – przerwał Robert.

– Gdzie? – indagował René.

– W autobusie, jak jechałem na obiad – ciągnął Albert.

– Jakim to?

– W esce.

– Więc cożes właściwie widział? – dopytywał się Robert.

– Przeszły co najmniej trzy, nim dałem radę się zabrać.

– Czego chcesz: o tej porze! – skomentował Adolf.

– No, ale coś niby widział? – zniecierpliwil się René.

– Cholerna ciasnota – dodał Albert.

– Można sobie poszczypać.

– Ee! – parsknął Albert. – Nie to mi w głowie.

– Wal dalej.

– Koło mnie rozlokował się dziwny typ.

– Jaki? – zaciekawil się René.

– Kilometrowa tyka z dziwaczną szyją.

– To znaczy jaką? – dociekał dalej René.

– Jakby mu ją ktoś na siłę wyciągnął w górę.

– Tak zwana elongacja – uściślił Żorzyk.

– A ten jego kapelusz, słowo daję: kapucha nie z tej ziemi.

– Czyli jaka? – informował się René.

– Ani śladu wstążki, za to galon, taki pleciony, dokoła.

– Ciekawostka – orzekł Robert.

– Z drugiej strony – kontynuował Albert – niezła maruda ten typ.

– Bo co? – nagabywał René.

– Zaczął drakę z sąsiadem.

– Niby czemu? – brał na spytki René.

– Wmawiał mu, że go depcze po kulasach.

– Naumyślnie? – podpytywał Robert.

– A jak! – oznajmił Albert.

– A potem?

– Potem? Najzwyczajniej w świecie dał dyla na siedzenie.

– I to wszystko? – rozpytywał się René.

– Ale skąd! Najciekawsze, że znów go spotkałem dwie godziny później.

– A gdzie? – molestował René.

LISTA ĆWICZEŃ

- Przed dworcem Saint-Lazare.
– I po co tam się pętał?
– Ależ pojęcia nie mam – sarknął Albert. – Łaził tam i sam z koleżką, który mu wciskał, że ma guzik przy płaszczu przy-
szyty za nisko.
– Prawda, prawda, to mu właśnie mówiłem – podsumo-
wał Teodor.

1. Sprawozdawczo_s. 5
2. Dubeltowo_s. 6
3. Antyfrastycznie_s. 7
4. Przenośnie_s. 8
5. Nawspaczenie_s. 9
6. Zdumiewająco_s. 10
7. Onirycznie_s. 11
8. Wróżebnie_s. 12
9. Zagmatwanie_s. 13
10. Tęczowo_s. 14
11. Słowołownie_s. 15
12. Chwiejnie_s. 16
13. Ścisłe_s. 17
14. Pierwszoosobowo_s. 18
15. Pierwszoosobowo_s. 19
16. Płynnie_s. 20
17. Łącznosłownie_s. 21
18. Negatywnie_s. 22
19. Animistycznie_s. 23
20. Anagramatycznie_s. 24
21. Distinguo_s. 25
22. Homoteleutycznie_s. 26
23. Oficjalnolistownie_s. 27
24. Skrzydełkowo_s. 29
25. Onomatopeicznie_s. 30
26. Analityczno-
-logicznie_s. 31
27. Namolnie_s. 33
28. Niefrasobliwie_s. 35
29. Biernie_s. 36
30. Teraz_s. 38
31. Wczoraj_s. 39
32. Zapewne_s. 40
33. Trzynastozgłoskowo_s. 41
34. Poliptotycznie_s. 42
35. Aferetycznie_s. 43
36. Apokopaicznie_s. 44
37. Synkopowo_s. 45
38. Odsiebnie_s. 46
39. Krzykliwe_s. 47
40. I_s. 48
41. Emfatycznie_s. 49
42. Prostacko_s. 51

43. Policyjnie_s. 52
 44. Komediowo_s. 54
 45. Na stronie_s. 56
 46. Parechetycznie_s. 57
 47. Fantomatycznie_s. 58
 48. Filozoficznie_s. 60
 49. Apostroficznie_s. 61
 50. Niezdarnie_s. 62
 51. Na luzie_s. 64
 52. Stronniczo_s. 66
 53. Sonetowo_s. 68
 54. Węchowo_s. 69
 55. Smakowo_s. 70
 56. Dotykowo_s. 71
 57. Wzrokowo_s. 72
 58. Sluchowo_s. 73
 59. Telegraficznie_s. 74
 60. Odziasto_s. 75
 61. Permutacyjnie w rosnących grupach liter_s. 79
 62. Permutacyjnie w rosnących grupach słów_s. 80
 63. Filhelleńsko_s. 81
 64. Zbiorowo_s. 82
 65. Definicyjnie_s. 83
 66. Tankowo_s. 84
 67. Wierszem wolnym_s. 85
 68. Z poślizgiem_s. 86
 69. Lipogramatycznie_s. 87
 70. Angliczańsko_s. 88
 71. Protetycznie_s. 89
 72. Epentetycznie_s. 90
 73. Paragogicznie_s. 91
 74. Częściomownie_s. 92
 75. Metatetycznie_s. 93
 76. Z przodu z tyłu_s. 94
 77. Imiennie_s. 95
 78. Koeskopekorankotyskotycznie_s. 96
 79. Wenetycznie_s. 97
 80. Antynomicznie_s. 98
 81. Makaronicznie_s. 99
 82. Homofonicznie_s. 100
 83. Z włoszczyzną_s. 101
 84. Anglofilsko_s. 102
 85. Pólsłówkowo_s. 103
 86. Botanicznie_s. 104
 87. Medycynie_s. 105
 88. Obrażliwie_s. 106
 89. Kulinarnie_s. 107
 90. Zoologicznie_s. 108
 91. Bezsilnie_s. 109
 92. Secesyjnie_s. 110
 93. Probabilistycznie_s. 111
 94. Opisowo_s. 112
 95. Geometrycznie_s. 113
 96. Rustykałnie_s. 114
 97. Wykrzyknikowo_s. 115
 98. Wykwintnie_s. 116
 99. Niespodzianie_s. 118

W LABIRYNCIE

W lutym 1927 roku Tadeusz Boy-Żeleński przyjął w Paryżu krzyż Legii Honorowej i wygłosił odczyt, dając upust wspomnieniom. „*Ileż razy wówczas, przed laty, zmęczony chodzeniem, siadałem na imperialkę omnibusu i jechałem wszystko jedno gdzie, patrząc sennie, wystawiając się na promieniowanie miasta niby w kąpieli słonecznej na działanie słońca. To znów wieczór, co za rozkosz przecinać miasto z lewego brzegu na prawy omnibusem w trzy siwe konie – sławny Batignolles-Clichy-Odéon – robić zakręt koło Saint-Sulpice, patrzeć z góry na te tak dramatyczne wody Sekwany, przepychać się w trzy konie długą ulicą Richelieu, zanurzyć się na minutę w gwarze przeciwnych bulwarów i już piąć się pod górę na Montmartre, zaglądając niemal w niskie okna antresoli na tych wąskich, ludnych uliczkach!*” Istny Statek pijany! Wszystko to, co nie bez zdziwienia wyrzucała z siebie jego pamięć, przywiodło Boya do wniosku, że owo narkotyczne doznanie obdarzyło go swoistą wiedzą z rodu tych, których nie sposób ująć w słowa. Wyrażalny jest tylko późniejszy stan ducha. Aż trudno oprzeć się chęci objawienia go światu. I oto stronę dalej, na ostatniej kartce tomu *W Sorbonie i gdzie indziej*, widnieje nowa wizytówka: BOY MĘDRZEC.

U progu XX wieku „wystawianie się na promieniowanie miasta” zyskało kształt literacki. Nasuwa się myśl, że jednym z pierwszych paryskich druków, na jakie mógł rzucić okiem Boy w pierwszych dniach stycznia 1901 roku, był świeżo wydany *Almanach Ojca Ubu*. Zawiera on skecz *Święto ruchomobilne*, gdzie ukochany bohater Alfreda Jarry'ego obwozi prowincjusza po mieście własnym „omnibusem”. Przy bliższym zbadaniu okazuje się on jak najbardziej kursowym omnibusem linii H, barwy żółtej – tym właśnie, w którym swych iluminacji dostępował Boy. Mało tego: Ubu z wyżyn pojazdu wskazuje co okazalsze budowle, ujawniając przy tym wiedzę godną nowoprzybyłego z Polski. Mówiąc krótko, nie trafia ani razu. „*Ten trójkątny zabytek to, laspanie, kościół Saint Germain des Prés. – Sądząc z pocztówek, myślałem, że to Odeon. – Skądże, to Opera...*” I tak dalej.

Koncept był zbyt udany, by ustrzegł się pokusie uszczknięcia go przyjaciół, a poniekąd i uczeń autora *Ubu Króla*, Guillaume Apollinaire. W pierwszej z przygód barona d'Ormesana z *Heretyka i S-ki* opisał nowy fach owego hochsztaplera, polegający na komponowaniu widoków miasta w suty emocjonalne. W ten sposób trasa jazdy stawała się poematem. „*Weszliśmy, turyści, baron i ja na imperial omnibusu, kursującego między placem Magdaleny a Bastylią. Kiedy mijaliśmy Operę, baron obwieścił ją podniesionym głosem. Wskazując na filię Domu Dyskontowego, dorzucił: „Pałac Luksemburski, Senat.” Przed „Neapolitańczykiem” powiedział emfaticznie: „Akademia Francuska.” Przed Bankiem Kredytowym Lyonskim oznajmił Pałac Elizejski...*” I tak dalej. Zjawilo się to w druku 25 października 1907 roku, czyli na sześć dni przed śmiercią Jarry'ego. Nie za ładnie. Alisci unoszenie

się w labiryncie fantasmagorycznej metropolii rozpoznane zostało jako eksperyment poetycki^{*}.

Żart był zbyt paryski, by zginąć bez śladu. Toteż po pół wieku, w 1959 roku, jedzie tym razem przez Paryż nieznośna dziewczynka z prowincji. Opiekunowie, rzecz jasna, usiłują zaciekawic ją miastem. „*Gabriel (...), żeby zmienić temat, znów coś pokazuje po drodze. – Patrz! – ryczy. – Panteon!!! – Czego to ludzie nie opowiadają – mówi Karol, nie odwracając głowy. (...) – Bo to może nie jest Panteon, co? – pyta Gabriel szyderczo. – Nie – odpowiada z mocą Karol. – Nie i nie. To nie jest Panteon. – W takim razie co to jest twoim zdaniem? (...) – To, cośmy widzieli, to oczywiście nie był Panteon, tylko Dworzec Lioński. – Być może – rzuca Gabriel lekceważąco (...). – Teraz patrz, mała: fajna architektura, nie? To Inwalidzi. – Upadłeś na głowę – mówi Karol. (...) – Po mojemu to co najwyżej koszary Reuilly.*” I tak dalej. Sens tej podróży w przestrzeni wcale nie zmienia się w czasie. Tak zaczyna się *Zazi w metrze* Raymonda Queneau, sławna powieść o fantomatycznym Paryżu, która wreszcie (w przekładzie Maryny Ochab) ukazała się i po polsku. Znane z bedekerów miasto objawia się tu jako złuda, bo wszystko okazać się może czym innym. Prócz

^{*} Cykl wydłubywania sobie tego rodzajnika z ciasta rozpoczyna się jednak, jak podejrzewam, jeszcze wcześniej. Twórcą konceptu mógł być bowiem krajan i przyjaciel Jarry'ego, malarz-amator zwany przezeń Celnikiem, który oprócz znanej *Zemsty rosyjskiej sieroty* napisał dwie inne sztuki, i w pierwszej z nich, *Une visite à l'Exposition de 1889* (Zwiedzanie Wystawy Światowej 1889) prezentuje świeżo upieczonego paryżanina jako przewodnika prowincjuszy. Jak się zdaje, zidentyfikowany prawidłowo zostaje tam tylko jeden obiekt: „*Patrz, patrz, jaka śmieszna użyska drabina! – To wieża Eiffla, baranie!*”. Trudno sprawdzić ten domysł, bo zbiór sztuk Celnika Rousseau ukazał się tylko raz, w 1949 r., kiedy biblioteki warszawskie miały inne klopy niż go sprowadzać.

metra, którym właśnie dlatego Zazi nigdy nie zdoła pojechać.

Straszne dziecko przemierza Paryż taksówką. Powtarzając pomysł fałszywych atrybucji gmachów publicznych, Queneau nie zapomniał jednak o komunikacji zbiorowej. Nie wykorzystał go tylko dlatego, że już wcześniej ruszył pod jego piórem przez Paryż nadzwyczaj zatłoczony autobus linii S. Taką nazwę nosiła ta linia za okupacji, gdy powstało pierwszych 15 części zawrotnych *Ćwiczeń stylistycznych*, opisujących drobny incydent w autobusie na wszelkie sposoby z użyciem pełnego asortymentu chwytów retoryki i gramatyki francuskiej. W wydanej w 1947 r. książce liczba ujęć wzrosła do 99. Na zdjęciu z połowy lat 50., gdy kabaret Frères Jacques objeżdżał z *Ćwiczeniami stylistycznymi* pół świata, autor wspiera się dumnie o wyszabrowaną z zajezdni tablicę z numerem linii 84, „Contrescarpe-Champerret”, z czego wynika, że kurs wiódł z okolic Panteonu aż do Neuilly. Queneau wykorzystał jednak niezgodności dawnej i nowej trasy, więc ma się wrażenie, iż zaklęty – bądź przeklęty – autobus błądzi zagadkowo po całym Paryżu, zawadzając wciąż tylko o park Monceau i dworzec Saint-Lazare.

Labirynt miasta przenosi się tu niejako w głąb tekstu, dzięki czemu banalna historyjka, jak ktoś komuś nadepnął na odcisk, urasta w dżunglę domysłów i interpretacji, spektakl językowej magii. Głos zabierają kolejno wszyscy uczestnicy zdarzenia wraz z obecnym na miejscu tajniakiem, filozof, grafoman, cham, botanik, kucharz, snob, nerwus, literat i logik, wreszcie anegdota nabiera samoistnego pędu, sięgając granic nośności mowy: „*W trakcie bonawentury na tylnej teodozji przepelnionego huberta dostrzegłem pewnego dnia rocha z bardzo długą kordulą...; Wzię do autosu pnego pażerów.*

*Uzam meńca we flapeuszu...; W tłokim wieku na aiformie platfobusu godzę wiścia z szynką cieją...”. Rozpętany cykl ujęć zaczyna przywodzić na myśl obrazy kalejdoskopu, wzbudzając jak one zawrót głowy grą przypadku i symetrii, inwencji i konwencji. I tak dalej. Niepohamowana swoboda mutacji nadaje *Ćwiczeniom* komizm podszyty samowiedzą lingwistyki XX wieku, że język, kształtując przekaz, modyfikuje jego sens – i że nie ma takich strzępów i belkotów, które by nic nie znaczyły. Perfidna kpina z języka, ukrytego bóstwa humanistyki współczesnej, sprawia, że książką tą Queneau wpiisał się obok Lucjana z Samosat, Rabelais'go, Swifta i Woltera w szereg największych szyderców – tych, co sięgają swym ostrzem samej natury człowieczeństwa.*

A wszystko dlatego, że w autobusie zjawil się odmieniec w pretensjonalnym kapeluszu – paryski odpowiednik naszych bikiniarzy. Konfrontacja z tą innością wywołuje efekt lustra. Odbicia, coraz bardziej groteskowe, mnożą się w nieskończoność, bo „*inność – jak mówi Roland Barthes – to skandal, który czyha na istotę rzeczy*”. Świat staje się labiryntem, gdy zabłądzi do niego Inny.

Jan Gondowicz